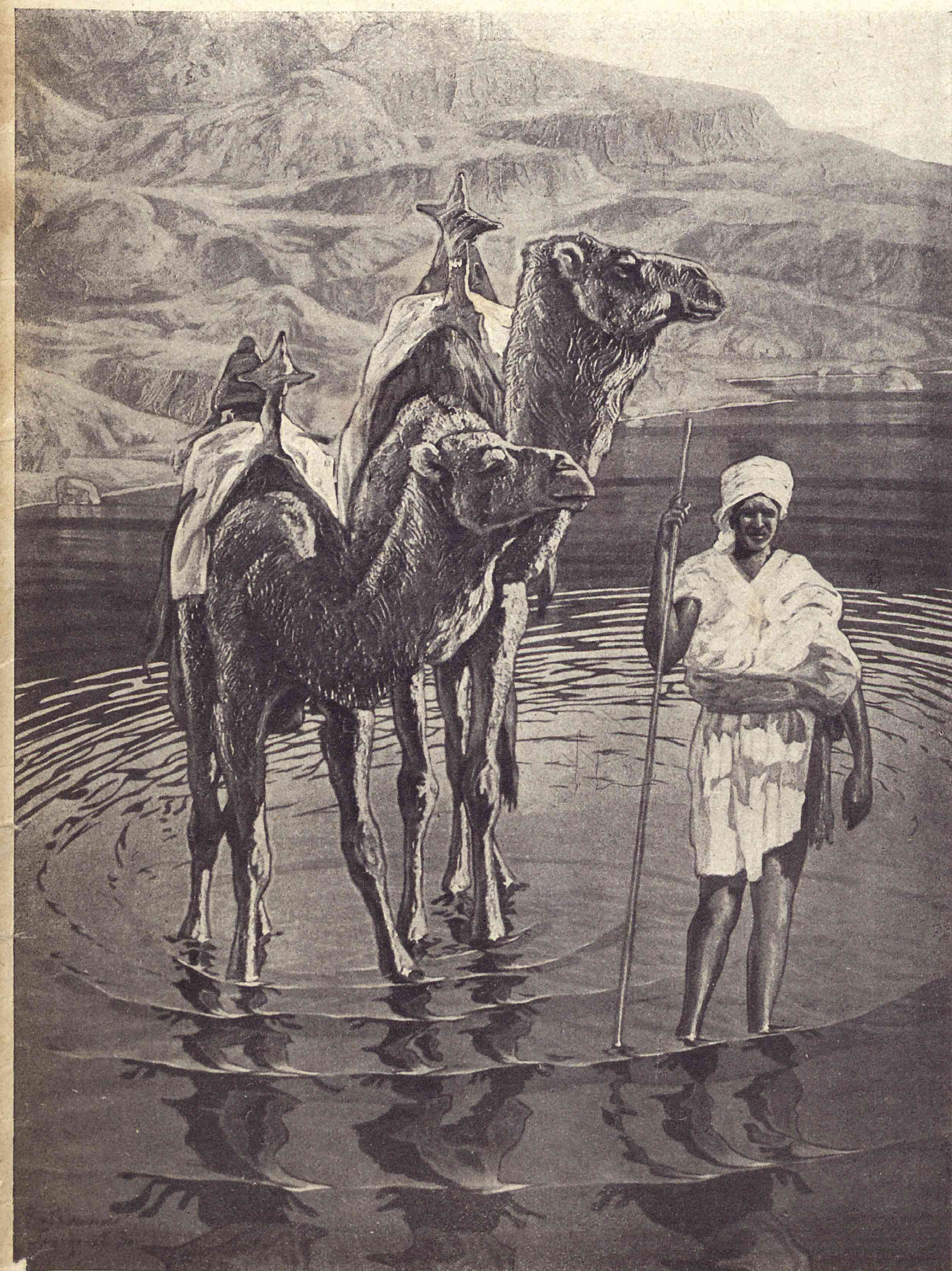
ŚWIAT

1 ZŁ

Nr. 19. DNIA 13 MAJA 1933 ROKU



A. LASZENKO „RADOŚĆ NA PUSTYNI"

TREŚĆ:

URATOWANY

— Jak się panu powodzi, panie Rozenzweig.

— Doskonale. Bank postawił mnie na nogi.

— Czy być może?... Pożyczka?...

— Nie, zasekwestrował mój samochód.



SPOTKANIE W AMERYCE

Herriot. — Jak się masz, staruszku?

MacDonald. — A ty, grubasie?

(„Le Rire")

W UZDROWISKU

Gość do kąpielowego, przygotowującego wannę:

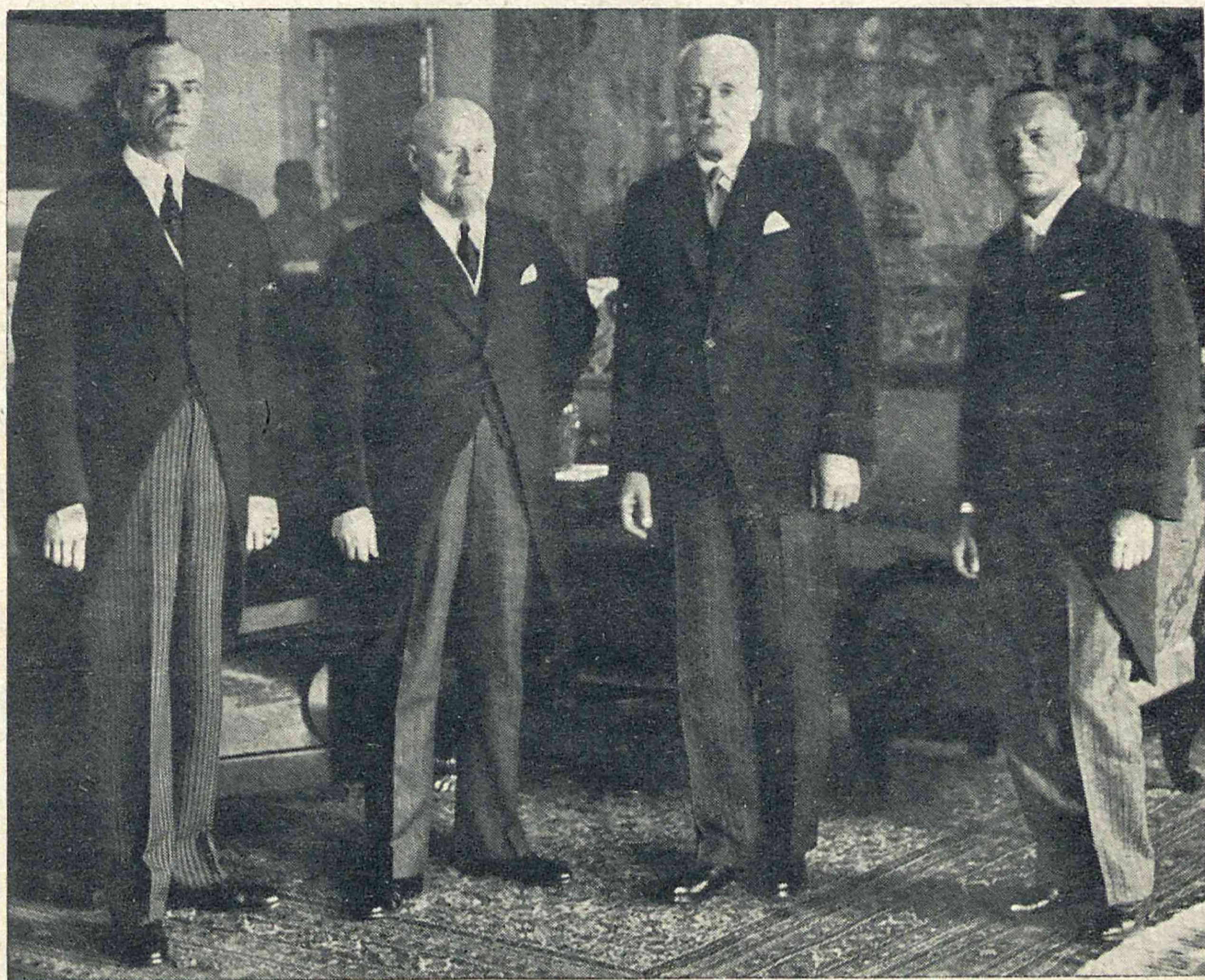
— Co, to ma być kąpiel błotna?! Woda przecież jest zupełnie czysta!...

— Tak proszę pana, ale to tylko z początkiem sezonu...

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 13-go MAJA 1933 ROKU
ROK XXVIII • NR. 19 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Wybór Prezydenta Polski



Przewodniczący Zgromadzenia Narodowego, marszałek Sejmu K. Świtalski (na prawo), w towarzystwie marszałka Senatu Wł. Raczkiewicza (na lewo) i prezesa Rady Ministrów A. Prystora, zawiadamia p. Prezydenta Rzplitej, prof. Ignacego Mościckiego o powtórnym jego wyborze

Ponowny wybór prof. Ignacego Mościckiego na stanowisko Prezydenta Rzeczypospolitej był w dzisiejszej sytuacji najlepszem i najlogiczniejszem wyjściem. Dzięki temu manifestacyjna nieobecność opozycji na Zgromadzeniu Narodowem przeszła bez wrażenia i złych następstw. Wprawdzie każdy inny kandydat, ustalony przez Blok Bezpartyjny, miałby taką samą znaczną większość; ale bezsporny pod względem formalnym jego wybór mógłby robić wrażenie jednostronności, co ujemnie wpłynęłoby na autorytet moralny, niezbędny dla przedstawiciela suwerenności państwowej.

P. Prezydent Mościcki tej inwestytury nie potrzebuje. Dał się on poznać w kraju i zagranicą podczas siedmioletniej dotychczasowej kadencji. Ma za sobą nietylko sławę europejskiej miary uczonego, ale też przeszłość naczelnego reprezentanta Polski. Jego wspaniała postać i ujmujący dla wszystkich uśmiech przyczyniają się niemało do tej reprezentacyjności. Cieszy się też wielką popularnością i sympatją u ogółu ludności. Dowód tego miał niedawno, bo w sierpniu ubiegłego roku,

gdy z powodu zgonu czcigodnej swej Małżonki, ś. p. Michaliny Mościckiej, otrzymywał ze wszystkich stron liczne objawy głębokiego współczucia i zrozumienia ciężkiego ciosu, jaki go spotkał.

Dzień 8 maja r. b. jeszcze raz jaskrawo wykazał wyższość naszego systemu wybierania Prezydenta Rzeczypospolitej nad systemem plebiscytowym pośrednim lub bezpośrednim. Dość sobie przypomnieć, jakie wstrząsy przechodziły w zeszłym roku Niemcy i Stany Zjednoczone, ile krwi przelano w walce Hitlera z Hindenburgiem, jak olbrzymie sumy wydano na przeprowadzenie Roosevelta przeciwko Hooverowi, a przedewszystkiem, ile namiętności, nienawiści, fermentów rozbudzono w obu tych państwach, aby z zachwytem podziwiać spokój i powagę przy obsadzaniu najwyższego urzędu w Rzeczypospolitej. A przecież nasza opozycja jest także ostra i nieprzejednana, technicznie jednak mogła w tym doniosłym dla państwa momencie wyrazić się najwyżej w niepostrzegalnej absencji, gdyż nawet zgłaszanie jakichkolwiek deklaracji w Zgromadzeniu Narodowem jest ustawowo zabronione.

Wstępując w drugi okres zaszczytnego i odpowiedzialnego urzędowania, P. Prezydent Mościcki ma już bogate doświadczenie polityczne i ustalone metody pracy na swem wysokiem stanowisku. Będzie też je z pewnością piastował ku jaknajwiększemu pożytkowi narodu i chwale państwa.



TYDZIEŃ ŚWIATA

Metamorfoza

(V.) Jeszcze parę tygodni temu groźne chmury zbierały się nad Polską. Zdawało się, że lada chwila grom uderzy w nasze Pomorze — jak mówią obcy — w „korytarz", odcinając nas przez to od świata, a jednocześnie niszcząc pokój, z którego szczęśliwie korzystamy. Z Berlina do Rzymu biegła wyraźna nić porozumienia i rozchodziła się stamtąd ku Londynowi, Paryżowi i dalej. Zarysowywał się blok czterech mocarstw, mający rewidować traktaty i zmieniać granice. Od zachodu wznosiła się przeciw Polsce zaciśnięta pięść Hitlera.

Nagle pięść ta rozwarła się, ręka opadła i ujrzeliśmy ze zdziwieniem wyciągniętą dłoń. Kanclerz Hitler zaprosił do siebie posła naszego w Berlinie, ministra Wysockiego, aby mu oświadczyć, że niczego bardziej nie pragnie, niż oparcia stosunków między dwoma państwami na ścisłem przestrzeganiu istniejących traktatów i załatwiania wspólnych spraw bez namiętności. Nazajutrz takie same zapewnienia wymienione zostały w Warszawie między ministrem Beckiem a posłem von Moltke.

Po wyjaśnieniach dyplomatów nastąpiło przyjazne zetknięcie się przedstawicieli wojskowości. Pierwszy niemiecki attache wojskowy w Polsce, gen. Schindler, został przyjęty w Belwederze przez marszałka Piłsudskiego na godzinnej prawie audjencji.

W stosunkach polsko - niemieckich nastąpiło widoczne odprężenie. Jak się to stało? Musimy sobie powiedzieć, że zawdzięczamy tę metamorfozę zarówno zręczności naszej dyplomacji, jak i pewnym aktom nowego rządu Hitlera, który zraził sobie cały świat, nie wyłączając Anglji i Sowietów. Niemcy wpadły przez to w stan zupełnej izolacji. Trzeba było wycofywać się z tej sytuacji.



Marszałek Piłsudski przyjmuje w Belwederze pierwszego attaché wojskowego Niemiec, gen. Schindlera

Polska nie chciała nigdy wojny, więc tem chętniej zgodzi się na zawieszenie broni.

Jubileuszowe zgrzyty

(wr.). W dniach od 14 do 21 b. m. odbędzie się propagandowy tydzień Ligi Obrony Powietrznej Państwa. Będzie on zarazem uczczeniem dziesięcioletniego istnienia tej doniosłej instytucji.

W ciągu lat dziesięciu L. O. P. P. zdziałała stosunkowo bardzo wiele. Polska została pokryta siecią lotnisk wraz z urządzeniami, jak hangary, budynki portowe, stacje benzynowe, bocznice kolejowe. Większość tych lotnisk służy narazie lotnictwu sportowemu i turystycznemu, na wypadek jednak wojny mogą być one zmienione w jednej chwili na lotniska wojskowe. Ponadto Liga zajęła się popieraniem polskiej twórczości lotniczej, subsydjując zarówno istniejące już fabryki, jak stwarzając kadry konstruktorów lotniczych. W tym celu zbudowała Warsztaty Doświadczalne na Okęciu, za sumę 300.000 złotych.

Kosztem przeszło miljona złotych wzniosła Liga w Warszawie Instytut Aerodynamiczny. Taki sam instytut budowany jest obecnie we Lwowie.

Na Żoliborzu wybudowała Liga Chemiczny Instytut Badawczy, kosztem 840.000 złotych. Tam też powstaje obecnie Cywilna Szkoła Obrony Przeciwgazowej, pozatem w Bydgoszczy i Lwowie wzniesiono Cywilne Szkoły Mechaników Lotniczych, a w Radomiu Cywilną Szkołę Pilotów.

W wydatny sposób Liga subsydjowała budowę nowych samolotów polskich, organizowała rajdy zagraniczne i popierała udział polskich lotników w zawodach międzynarodowych.

Znaczenie Ligi na wypadek wojny, która będzie chemiczno-gazową, jest ogromne, a bezpieczeństwo państwa w znacznym stopniu zależy od jej rozwoju.

W związku z dziesięcioleciem w lokalu Ligi odbyła się konferencja prasowa, na której wyjaśniano

SESJA ZGROMADZENIA NARODOWEGO

Wygląd sali sejmowej podczas posiedzenia Zgromadzenia Narodowego pod przewodnictwem marszałka Raczkiewicza. Posłowie i senatorowie składają kolejno głosy według odczytywanej przez sekretarza listy



Akt zaprzysiężenia Prezydenta Rzeczypospolitej, prof. Ignacego Mościckiego na Zamku

Fot. Pikiel





Kapitan Stanisław Skarżyński, pierwszy Polak, który przeleciał Ocean, i jego samolot RWD 5-bis

pewne zgrzyty, jakie ostatnio w łonie instytucji powstały. Nasuwa się przytem uwaga, — że wystawność konferencji prasowych, organizowanych przez instytucje, utrzymujące się z grosza publicznego, jest w dzisiejszych czasach nędzy i kryzysu conajmniej... rażąca. Nie usprawiedliwia tej rozrzutności nawet okoliczność, że gros wydatków poszło do kieszeni Państwowego Monopolu Spirytusowego.

Zwycięski lot

(Old) Lotnictwo nasze okryło się nową chwałą: pierwszy Polak przeleciał Ocean Atlantycki. To, co nie udało się dwukrotnie Idźkowskiemu i Kubali, następnie Hausnerowi, zostało osiągnięte przez kapitana Stanisława Skarzyńskiego. 8 b. m., w dniu swoich imienin, wyruszył z lotniska St. Louis w Senegalji, aby po 19 i pół godz. lotu nad oceanem wylądować w mieście brazylijskiem Maccio. Tryumf jest tem większy, że dokonał tego na aparacie wyłącznie polskiej konstrukcji, zwanym RWD 5 — bis od nazwisk trzech jego twórców: Rogalski, Wigura, Drzewiecki. Lekka ta sportowo-turystyczna maszyna waży zaledwie 350 klg., a wraz z pełnym zapasem paliwa — 1100 klgr. Posiada ona silnik 120 konny i może rozwijać szybkość 175 klm. na godzinę.

Kpt. Skarzyński pobił rekord znanego lotnika angielskiego Mollisona zarówno pod względem dystansu, jak i szybkości lotu. Wielkie to, imponujące zwycięstwo!

Dokładność skarbowa

(go.). Poważny kupiec warszawski, właściciel starej i znanej firmy w śródmieściu, otrzymał w tych dniach wizytę sekwestratora w mieszkaniu prywatnem, który opieczętował meble za jakoby niezapłacony podatek dochodowy za rok 1923, wyraźnie za rok tysiąc dziewięćset dwudziesty trzeci, na sumę około 90.000.000 marek polskich!...

Kupiec, niesłychanie skrupulatny w płaceniu podatków, zna swoich „Papenheimerów", więc przechowuje kwity podatkowe, jak relikwie. Zabrał się do poszukiwań i oto nazajutrz zjawia się w urzędzie i demonstruje kwit właściwy z przed dziesięciu lat na astronomiczne cyfry.

— A, nie, powiada urzędnik — pan mi pokazuje kwit z roku 1923-go, to znaczy za podatek z roku 1922, a mnie potrzebny jest kwit za podatek roku 1923.

Znowuż poszukiwania w archiwum. I ten kwit się znalazł. Teraz jednak okazało się, że to już inny urząd będzie kompetentny, na drugim końcu miasta, bo w tej zamierzchłej epoce inflacyjnej kupiec mieszkał w innej dzielnicy.

Podatek był zapłacony w swoim czasie i to tego samego dnia, kiedy została wręczona awizacja.

Czy to nie zakrawa na drugi akt wiedeńskiej operetki? Czy społeczeństwo po to opłaca podatkami urzędników, by ci je zadręczali, zabierali mu czas i kompromitowali wobec sąsiadów?

Lecz jest jeszcze coś ważniejszego. Zdaniem naszem, urzędnik, wysyłający nakaz płatniczy w dziesięć lat po terminie, dopuścił się karygodnego przestępstwa zaniedbania w ściąganiu podatków, zaniedbania, które trwało dziesięć lat! Jeżeli to się praktykuje częściej, że podatki są ściągane dopiero po dziesięciu latach, to cóż dziwnego, że mamy deficyty budżetowe.

Wytrzymałość

(sk) W Cyrku warszawskim odbywa się konkurs na wytrzymałość w tańcu. Trwa już kilka dób, — przy dźwiękach hałaśliwych jazzbandów kręcą się w dzień i w nocy śmiertelnie znużone pary, a dziesiątki tysięcy ciekawych przyglądają się żądnie ich wybladłym twarzom i mętnym z wyczerpania oczom.

— Ci już nie wytrzymają! A może tamtych wyniosą?

Robią się zakłady, zakłady o ludzkie zdrowie, może o ludzkie życie.

Kiedyś z obrzydzeniem opowiadano anegdotę o ekscentrycznem okrucieństwie anglika, który co wieczór przychodził na popisy słynnego pogromcy lwów, — nie omijając żadnego przedstawienia.

— Czy pan tak podziwia śmiałość pogromcy? — pytano anglika.

— Jego śmiałość nic mnie nie obchodzi. Sądzę, że prędzej czy później lwy go rozszarpią i nie chcę stracić tego widowiska...

PIERWSZY MAJ U NASZYCH SĄSIADÓW





W sowieckiem państwie robotników uroczystości pierwszomajowe miały wybitnie oficjalny charakter. Wygląd ulic był niemal zwykły. Urozmaicały go tylko monstrualne figury alegoryczne, propagujące traktory, dźwigi i inne maszyny



W masowych obchodach święta proletarjatu w Berlinie wziął udział w tym roku prezydent Rzeszy, feldmarszałek cesarski Hindenburg, przemawiając do tłumu

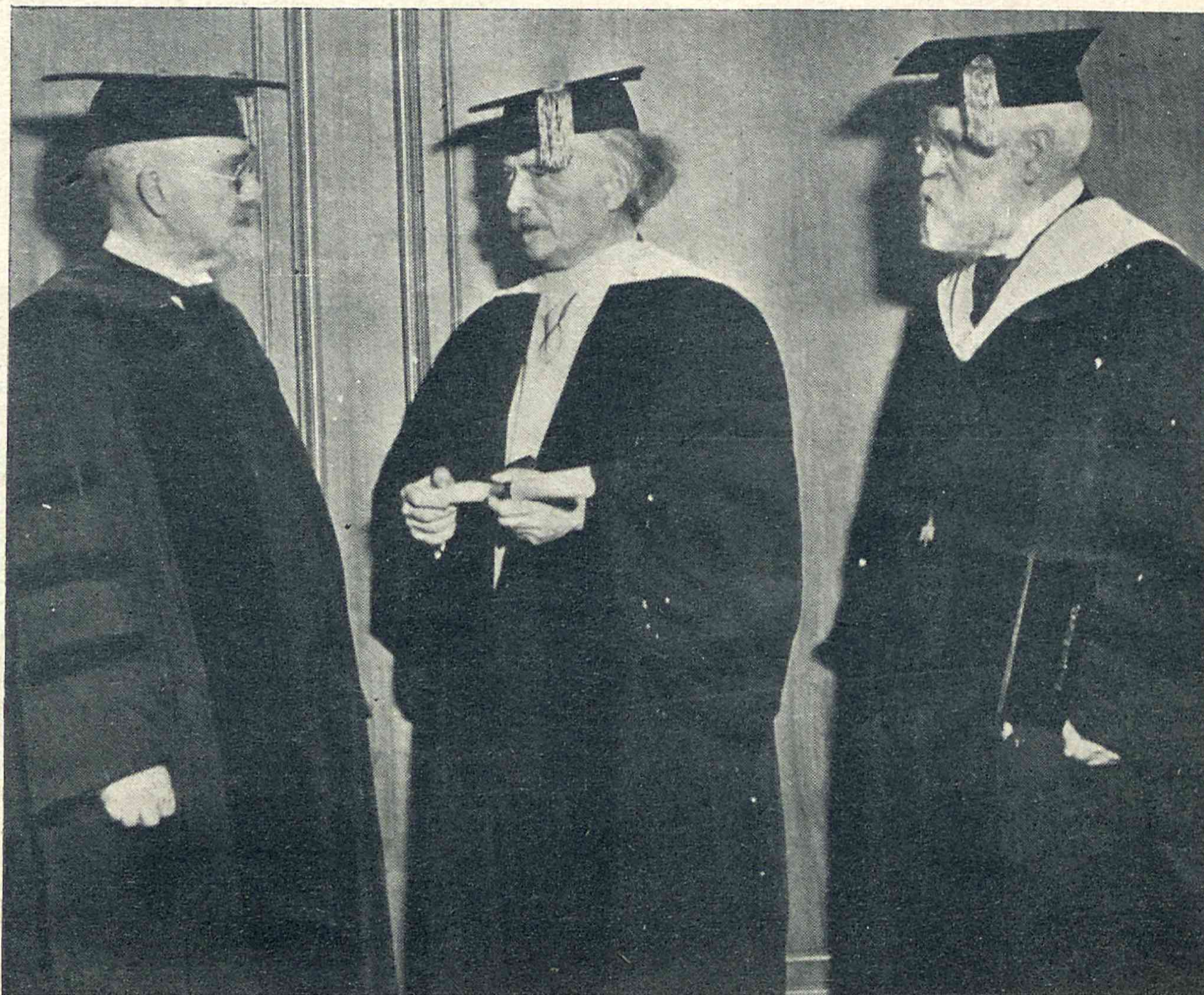
W teatrach, w kinematografach, nawet w teatrzykach rewjowych — przestrono. Do cyrku mkną wspaniałe limuzyny, skromniejsze taksówki i szara ciżba pieszych. Upał. Duszno. Wszystko jedno. Tysiące par oczu śledzą z niepokojem, która z rywalizujących par wyczerpie ostatek sił...

Tak na arenach hiszpańskich przypatruje się okrutny tłum bykowi, storturowanemu przez piccadorów i banderillosów, chwiejącemu się na nogach z upływu krwi, — zanim torreador dokończy go pchnięciem szpady w kark...

A w tej-że samej chwili nad nieskończoną przestrzenią Oceanu młody oficer polski święcił tryumf najwyższego hartu ducha i ciała. Sam jeden między niebem i wodą, zdany tylko na własną przytomność i wytrzymałość sił, odnosił jedno z tych pięknych zwycięstw, które już nie należą do jednostki, lecz stają się chwałą całego narodu.

Wytrzymałość — i wytrzymałość!...

Paderewski w stroju doktora Uniw. Nowojorskiego



Z jednej strony mistrza Kanclerz uniwer. E. Brown, z drugiej sekretarz dr. R. Johnson

EX AMERICA LUX

Jedynym konkretnym wynikiem pielgrzymki do Waszyngtonu premjera brytyjskiego MacDonalda i expremjera francuskiego Herriota jest ustalenie daty światowej konferencji gospodarczej na dzień 12 czerwca. Co do reszty — a ta reszta zawiera najdonioślejsze i najniebezpieczniejsze zagadnienia doby dzisiejszej — nastąpiła wymiana zdań, naturalnie, w najbardziej przyjaznym tonie i w najszczerszych słowach. Wymiana zdań, która nie posunęła naprzód ani palącej sprawy pieniądza i walki walut zdeprecjonowanych z walutami złotemi, ani sprawy długów wojennych, ani rozbrojenia, ani tylu innych, które trapią dziś ludzkość.

O premjerze MacDonaldzie mówi się złośliwie w Londynie, że sam nie wie, z czem wraca z Waszyngtonu. Istotnie wraca tylko z notatkami, niezbyt kompletnemi, ze swych „przyjacielskich" rozmów z Rooseveltem, to przy kominku, paląc fajki, to na yachcie podczas wycieczki. W Izbie Gmin premjer złożył już oświadczenie, pełne ogólników i frazesów; z przemówienia tego treści żadnej wyłuskać się nie dało.

Nie o wiele lepiej powiodło się p. Herriotowi, który jednak był o tyle w szczęśliwszej sytuacji od swego kolegi MacDonalda, że przyjechał nie jako członek rządu i upełnomocniony negocjator, lecz raczej jako obserwator i informator.

Rozmowy waszyngtońskie nie były jednak bez znaczenia.

Mężowie stanu trzech najpotężniejszych mocarstw świata w bezpośredniej wymianie zdań poznali wzajemnie swoje kłopoty i bolączki, zorjentowali się w poglądach i zamiarach. Pp. MacDonald i Herriot niewątpliwie mogliby wiele powiedzieć o tem, co zamierza w najbliższej przyszłości uczynić prez. Roosevelt, a ten również zna obecnie wiele tajemnic gabinetów francuskiego i angielskiego. Szeroka publiczność jednak trwa w niewiedzy, i narazie wie jedno: konkretnie załatwiono w Waszyngtonie tylko sprawę daty 12 czerwca...

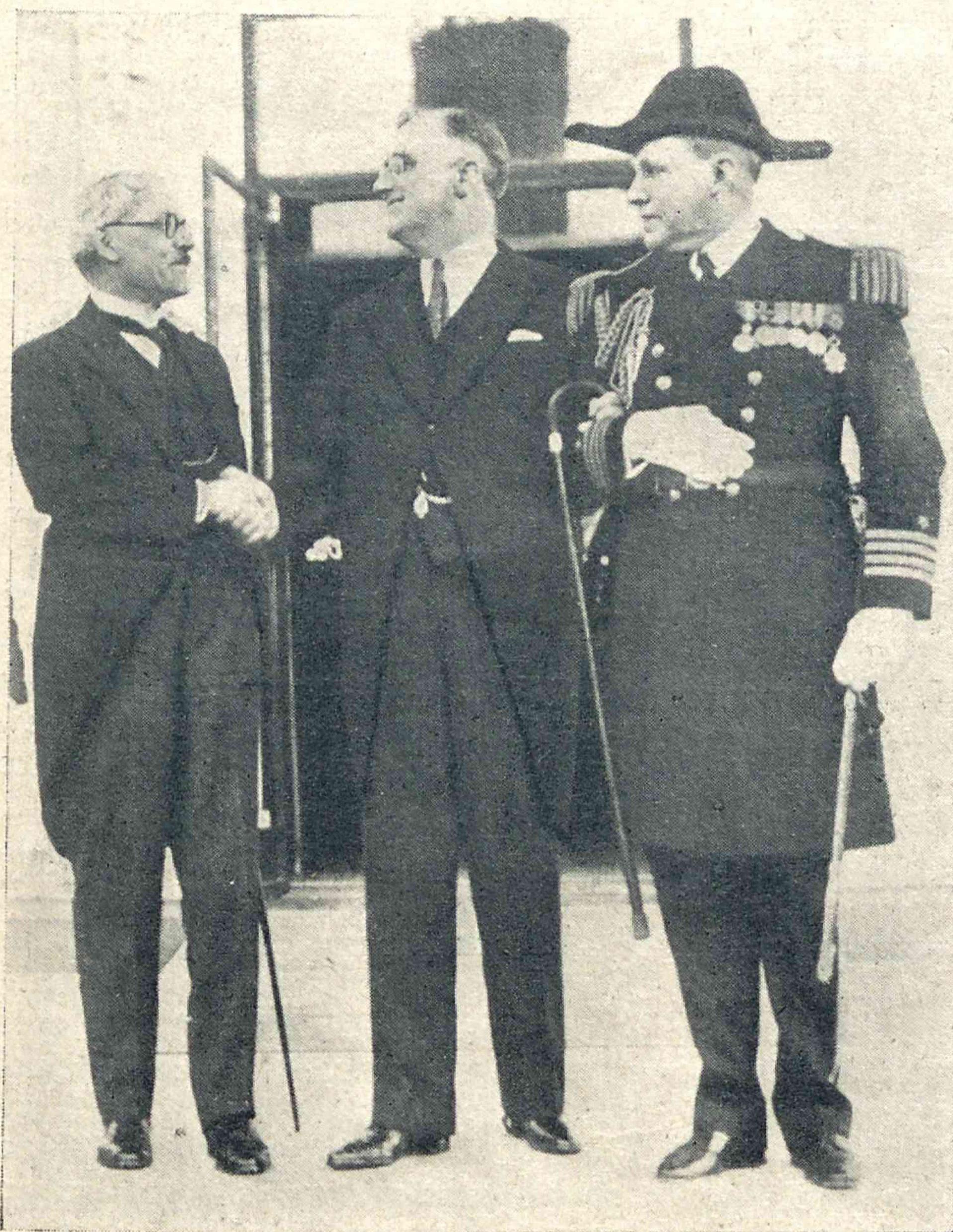
Ta data daje jednak wiele do myślenia. Poprzedza ona o trzy dni datę 15 czerwca — datę płatności bieżącej raty długu wojennego. Zarówno Anglja, która zapłaciła ratę grudniową, jak i Francja, która raty tej nie zapłaciła, nie mają zamiaru przesłać do Waszyngtonu swego złota na pokrycie czerwcowego „weksla". Ameryka zaś nie może zrezygnować z należności, szczególnie teraz, kiedy walczy z deficytem budżetowym i kiedy cała gospodarka społeczna znajduje się w okresie zmagań z nadmiernem obdłużeniem warsztatów pracy i z nadmiernem obciążeniem rolnictwa i przemysłu z tytułu zaciągniętych pożyczek.

Prez. Roosevelt jest jednak zbyt mądrym człowiekiem i zbyt przewidującym mężem stanu, aby nie widzieć, że nie można zmusić dłużników zagranicznych do zapłacenia raty czerwcowej, że ulga, do której przyznania upoważnił go Senat — mianowicie, przyjęcie zapłaty w srebrze, zamiast złota — nie wystarczy. Gotów jest udzielić moratorjum — ale za odpowiednią kompensatą.

Kompensatę tę ma dać światowa konferencja gospodarcza, na którą pełnomocnik Stanów Zjednoczonych p. Norman Davis, „Ambassador-at-Large" — ambasador na całą Europę — zgłosił już wniosek o rozejmie celnym.

Tu tkwi sedno rzeczy. Skurczony do nieznośnych granic organizm gospodarczy Stanów Zjednoczonych, nastawiany na produkcję kilkakrotnie wyższą od obecnych kryzysowych rozmiarów, pragnie nowej ekspansji, powrotu do dawnych obrotów. Musi być przyspieszona i uwielokrotniona międzynarodowa wymiana, muszą być ceny podniesione w górę, musi być zwiększona siła nabywcza całego globu ziemskiego. W tym celu Stany Zjednoczone muszą odzyskać zdolność konkurencyjną: a więc dolar obniżony zostaje o kilkanaście procent, aby skutecznie mógł walczyć z funtem, a więc podbijane są ceny surowców, jak bawełna, guma, aby przemysł i handel uzupełniły swoje zapasy i poczyniły nowe zamówienia, a więc zniżony ma być wysoki mur celny, dzielący Amerykę od reszty świata, a to celem dopuszczenia obcych towarów wzamian za amerykańskie. Rozejm celny ma przerwać wojnę taryfową wszystkich przeciwko wszystkim — i ma zabezpieczyć Stanom Zjednoczonym korzyści, których się spodziewają po spadku dolara.

DWIE SCENY W BIAŁYM DOMU
ZE ZMIANĄ JEDNEGO AKTORA



Prezydent Roosevelt, wsparty na ramieniu adjutanta, kapitana Waltera Vernou, wita premjera MacDonalda



Prezydent Roosevelt, parę dni później, w ten sam sposób spotyka delegata Francji Herriota

Fot. Assoc. Press.

Francja już podobno zamierza podnieść swoje cła, jeżeli dolar straci powyżej 15% wartości. Takie same zamiary żywią inni dłużnicy Ameryki. Nie uczynią tego, jeżeli wzamian otrzymają moratorjum.

Tak rozgrywa się wielka gra międzynarodowa, której głównym partnerem jest energiczny i przedsiębiorczy prezydent Stanów Zjednoczonych, człowiek, na którego zwrócone są oczy całego świata.

Prezydent Roosevelt jest bodaj jedynym dziś szefem rządu, który odważył się na *czynną* walkę z kryzysem. Hoover, jego poprzednik, bronił się przed skutkami przesilenia, starał się je osłabić, starał się dostosować bieg życia do surowych wymagań kryzysu.

Roosevelt nie chce być bierny i nie chce trwać w pozycji obronnej. Wypowiedział kryzysowi wojnę — i wojnę tę prowadzi, używając broni, która wydawała się jeszcze niedawno samobójczą i niebezpieczną i dziś jeszcze wielu wydaje się szkodliwą. Dwa miesiące dopiero trwają rządy Roosevelta, a już w życiu Ameryki zaszły kolosalne zmiany. Prez. Roosevelt umiał poradzić sobie z tradycyjnie krnąbrym kongresem. Otrzymał w szeregu spraw pełnomocnictwa wręcz dyktatorskie. Dzięki temu, mógł za jednym zamachem oszczędzić ponad pół miljarda dolarów na płacach urzędniczych i pensjach weteranów. Przeprowadził przez Izbę prawo o wolnej sprzedaży piwa, zgarniając do skarbu 150 miljonów dolarów rocznie. Zrewolucjonizował stosunki na roli, ograniczając produkcję bawełny i pszenicy. Wreszcie — odważył się na oderwanie dolara od złota.



Podczas gdy mężowie stanu omawiali sprawy państwowe, pani Roosevelt pokazywała pannie Izabelli MacDonald, towarzyszącej ojcu w podróży, ciekawy ścieg szydełkowy

Te i inne poczynania mają „nakręcić" konjunkturę. Już ją częściowo nakręciły w samych Stanach, gdzie ceny surowców poszły w górę, gdzie giełda szaleje i gdzie papiery zwyżkują bezustannie.

Czy ta poprawa jest trwała? Czy przeniesie się do Europy? Czy ta inicjatywa amerykańska, której wizyta MacDonalda i Herriota była jednym z najciekawszych objawów, odniesie pożądane skutki?

Odpowiedzi na te pytania wyczekuje cały świat. *js.*

Doświadczenia wielkiego procesu

Niestety — proces Gorgonowej nie skończył się. Byłoby znacznie lepiej, gdyby nastąpiło jakieś normalne rozwiązanie tej sprawy, która wywołała tyle niezdrowej sensacji.

Lecz to, co początkowo zdawało się podniecać tylko próżną ciekawość ludzką, odwracając uwagę od wydarzeń o wiele ważniejszych, jakie w tym samym momencie rozgrywały się, w miarę rozwijania się procesu rozrastało w powagę wielkiego eksperymentu, w którym naocznie i publicznie, jak pod szkłami powiększającemi lunety, ukazywał się nam wymiar sprawiedliwości. Sama osoba Rity Gorgonowej, tło obyczajowe, z jakiego wyrosła ta koszmarna sprawa — to były tylko pierwsze fragmenty widowiska, którego końcowy moment stał się wreszcie — niedostatecznie zauważonym skandalem.

Według informacji prasowych, przy naradzie przysięgłych odbył się rodzaj targu, czy handlu sumieniami, o czem naiwnie, nie zdając sobie widocznie sprawy z istoty czynu, opowiedział dziennikarzom przewodniczący ławy przysięgłych, p. Krowicki. Ława przysięgłych, korzystając z przysługującego jej prawa, zażądała postawienia przez trybunał dodatkowego pytania: o winie zabójstwa w uniesieniu. Przysięgli sami pytań formułować nie mogą: stawia im je sąd.

Przewodniczący trybunału miał oświadczyć na to, że trybunał pytanie takie postawi, o ile wzamian przysięgli wyniosą jednomyślny werdykt skazujący. Dobito „krakowskiego targu". Wszyscy przysięgli, gdy ich zapewniono, że Gorgonowa zostanie skazana łagodnie, zgodzili się uznać ją za winną. A więc i ci, którzy nie byli przekonani o jej winie!

Jakiż fatalny wytworzyć się może sąd o społeczeństwie, w którem podobne „targi" są możliwe! A cóż powiedzieć o sędzim koronnym, dla którego wykonaniem zadania sędziowskiego jest — skazanie delikwenta!

Pierwszym zatem rezultatem tego oglądania przez szkła powiększające zwykłego procesu karnego, który codziennie wszak dziesiątki ludzi wtrąca do więzień — jest zaobserwowanie zjawiska fachowego uprzedzenia do człowieka, zajmującego miejsce na ławie oskarżonych. Jakże trudno przełamać tę powłokę nieufności, jak ciężkiem jest zadaniem rozgrzać tę lodowatą atmosferę obojętności, w którą się nagle dostaje delikwent, wierzący, że zastanie precyzyjny aparat sprawiedliwości, który zważy i rozważy wszystko.

Dalsze doświadczenie procesu daje odpowiedź na pytanie, co wart jest świadek, ten fundament wszystkich wyroków, jedyny niemal środek dowodowy! Przypatrzmy się całej galerji: pyskata kuchta, mająca sposobność do załatwienia swych rachunków z dawną panią, i prowincjonalny adonis, który idzie do sądu w zielonkawej koszuli, aby udowodnić, iż wie, co to jest kolor seledynowy rąbka koszuli, który miał widzieć z pod futra Gorgonowej!

Osobniki, które nie potrafią rozróżnić swego „zdaje mi się" od „wiem napewno" i nigdy nie powiadają pierwszego, tylko to drugie, — to typowy materjał ludzki wśród świadków. Ileż trzebaby bezstronności, doświadczenia i bystrości, aby w tym niepewnym materjale odróżniać rzeczywistą prawdę od nieświadomego kłamstwa.

Wymiar sprawiedliwości w większości wypadków bywa niezmiernie prosty. Przeciętnie sprawny policjant potrafi zebrać zupełnie wystarczające i wyraźne dowody winy. Istnieje również i prostota odwrotnych wypadków. Jest łatwem do stwierdzenia, iż oskarżonego przy tych danych, jakie istnieją, skazać nie można.

Pomiędzy dwiema kategorjami spraw względnie pewnych, dla których przeciętny sąd jest przy korekturze, jaką dają wyższe instancje, mniejwięcej wystarczający — istnieje jeszcze kategorja trzecia, pośrednia: proces poszlakowy.

Są to te wypadki, gdy niema namacalnych dowodów winy, lecz są dane, z których drogą wniosków można wyprowadzić przypuszczenie o winie. W znacznym odsetku zabójstwa są procesami poszlakowemi. Sprawiedliwość nie może rezygnować z ujęcia sprawców wówczas, gdy nie zostali oni przychwyceni na gorącym uczynku lub z niewątpliwemi dowodami. Z tej jednak konieczności operowania dowodami pośredniemi wynika łatwa możliwość omyłek sądowych. Rutyna sędziowska nie jest tu pomocą, raczej przeszkodą.

Ogromnem rozszerzeniem sfery dowodów pewnych a zmniejszeniem znaczenia poszlak wydawać się mogło wprowadzenie badań naukowo-śledczych. Dają one w wielu razach znakomite wyniki.

Proces Gorgonowej wydawał się typowym przykładem, co może potęga wiedzy, operującej daleko posuniętemi metodami badań. Był to bowiem klasyczny proces poszlakowy. Nie znaleziono żadnego dowodu, któryby wiązał bezpośrednio Gorgonową z czynem zbrodniczym. Tylko drogą przypuszczeń i wnioskowań można było dojść do podejrzeń, że ona, a nie kto inny, jest sprawczynią morderstwa. Wszakże można odnaleźć napozór niewidoczne ślady krwi na włoskach futra; w rdzy na żelazie wykryć pozostałości krwawych plam; w spłókanej chusteczce naukowe metody badawcze potrafią znaleźć dowód obciążający! A dalej: możność rozpoznawania grup krwi pozwoli niezbicie stwierdzić, że w tych niewidocznych pozostałościach jest krew ofiary mordu. Nic nie zostanie utajonem, jakgdyby odkryto pismo, napisane sympatycznym atramentem.

A tymczasem cóż się okazało? Zaszły poważne różnice i kontrowersje między uczonymi. Metody naukowe posuwają, jak się okazuje, bardzo daleko możliwości poszukiwań, lecz nie czynią łatwiejszem znalezienie pewnej i niezbitej prawdy. Miarą wszystkiego i w tym wypadku jest człowiek. Od jego właściwości charakteru, od opanowania siebie i krytycyzmu wobec własnej pracy zależy różnica między pewnikiem a hipotezą. Jeden z uczonych z powściągliwą skromnością będzie się odnosił do wyników, jakie osiąga przy pomocy swej wiedzy; inny — o odmiennych właściwościach charakteru, twierdzić będzie o najbardziej ryzykownych swoich eksperymentach, że są one stuprocentowo pewne.

Cała ta pozornie niewzruszona bezsporność orzeczeń biegłych pochodzi stąd, że zazwyczaj w procesie karnym są one jedynemi. Konfrontacja dwóch równorzędnych opinji wskazuje nam dopiero, na jak kruchej podstawie spoczywało przeświadczenie, że to, co zostało stwierdzone „na podstawach naukowych", jest rzeczywiście tylko na tych podstawach oparte bez przymieszki subjektywizmu.

Widzimy zatem, jak silnym i przeważnym jest wpływ osobowości ludzkiej na bieg procesu karnego. Pierwsza próba bliższego zapoznania się z dziełem wymiaru sprawiedliwości, jakiej dokonało nasze społeczeństwo, dała bardzo obfite rezultaty. Trzeba tylko uświadomić sobie, na czem wyniki tych doświadczeń, jakie dała sprawa Gorgonowej, polegają.

Jan Dąbrowski

WŚRÓD WINNIC I PAWIANÓW

Wrażenia z Afryki Południowej

II. NA ZIEMI DOBREJ NADZIEI

Droga morska z Europy do Przylądka Dobrej Nadziei trwała pod koniec XV-go wieku około pół roku. Niebawem, to znaczy po stu pięćdziesięciu latach, skrócono ją do trzech miesięcy, obecnie zaś drogę tę, wynoszącą okrągło sześć tysięcy mil morskich, przepływa się w ośmnaście dni.

Z podróżą lądową jest gorzej. Sławny przemarsz Stanley'a wpoprzek Afryki Centralnej, nie tak dawno, bo kilkadziesiąt lat temu, trwał dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć dni, co go zbliża ku bajecznym opowieściom z tysiąca i jednej nocy. Wszechmożne, zdawałoby się, lotnictwo niewiele na transafrykańskim szlaku zdziałać mogło, parcours Croydon - Cape trwa bowiem jedenaście dni, będąc nad wyraz kosztownym, a co gorsza, bardzo niebezpiecznym.

Wróćmy więc lepiej na pokład, gdzie kilku starszych panów o czerstwym wyglądzie opowiadało p. Lockowi o zyskownem w Południowej Afryce ogrodownictwie, o hodowli drzew owocowych i organizacji wywozu.

Jednym z najgłówniejszych atutów przemysłu owocowego tego odległego kraju jest jego położenie na południowej półkuli. Gdy Europę bowiem ściska mróz, tam — lato w pełni. Gdy owoce europejskiego południa już dostarczono i zjedzono, tam, w grudniu, styczniu, lutym dojrzewają miljony słodkich, soczystych brzoskwiń, mięsistych moreli, orzeźwiających nektaryn, pełnych egzotycznego aromatu owoców guawy i mango, posilnych avocados, paw-paw, kostropatych ananasów, nie mówiąc o jabłkach, pigwach, gruszkach, śliwkach. I znów od czerwca do października, gdy północna półkula nie rozporządza „gotowemi" pomarańczami, mandarynkami, grapefruit'ami, tam czekają na wywóz setki miljonów.

Eksport świeżych owoców z Afryki Południowej rozpoczął się nikłą cyfrą trzystu ton w roku dziewięćsetnym, w dziesięć lat później wykazał trzy tysiące, a od tej daty idzie w niebywałem crescendo i mimo wysiłków w ostatnich czasach groźnych konkurentów: Brazylji i Australji, osiągnął już wartość miljona funtów szterlingów. A oprócz tego „surowca" wysyła się skrzynki konserw, marmelad, dżemów, suszonych owoców, soków, — znowu za setki tysięcy.



Grupa robotników murzyńskich powracających z pracy

Powodzenie swe organizacja wywozu zawdzięcza stworzeniu olbrzymiego aparatu, w postaci: składnic dla owoców w miejscowościach, gdzie położone są farmy, wagonów - chłodni, poczekalni - chłodni w portach, wreszcie całej flotyli pośpiesznych okrętów, które, prócz urządzeń dla przewozu pasażerów i poczty, posiadają specjalne zimne pomieszczenia, dostosowane do transportu kilku tysięcy ton owoców, zapakowanych w skrzynie z cienkiego, świerkowego drzewa [1]). Cały ten skomplikowany mechanizm, złożony z ludzi, precyzyjnych maszyn, pociągów, okrętów, funkcjonuje wzorowo.

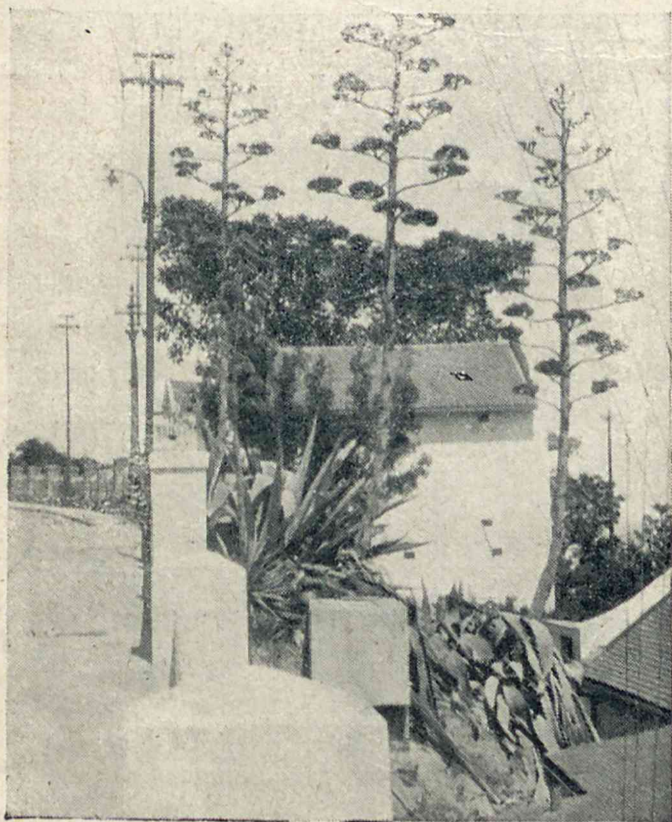
Jakieś niedokładności, niedbalstwo, lub chęć przemycenia niepewnego towaru są wykluczone, gdyż przy przyjęciu do składów portowych odbywa się ostra rewizja. Prawodawstwo ustanowiło ściste przepisy i biada farmie, której jedna pomarańcza lub brzoskwinia nie wytrzyma „Stichprobe". Następuje dyskwalifikacja i towar zamiast za morze idzie na rynek wewnętrzny.

Zawinięte w ozdobną bibułkę, delikatne owoce dostają się z afrykańskiego bezludzia w półtrzecia tygodnia zdrowo i cało, za przystępną cenę, na stół londyńskiego, kopenhaskiego, czy berlińskiego mieszczucha, i to nie żadnego krezusa lub nuworisza, lecz zwykłego z ciężkiej pracy umysłowej lub fizycznej żyjącego człowieka.

*

Nareszcie wylądowano. Umieszczono się narazie w jednym z licznych, cichych hoteli, położonych wśród uroczych przedmieść Capetown'u, tonących, jak rok długi, w zieleni palm, egzotycznych drzew, krzewów, niespotykanych nigdzie kwiatów.

Pierwszą czynnością było nabycie samochodu, tego nowoczesnego zwycięzcy czasu i przestrzeni. Zaczął się ruch. Codziennie rano wyjeżdżano do miasta, mknąc po wyślizganych asfaltach i makadamach, wymijając olbrzymie, podmiejskie autobusy i będąc wymijanym przez najbardziej luksusowe limuzyny lub śmigłe maleństwa licznych „Baby Austin". Z poza gęstych obramowań strzyżonych żywopłotów wy-



Z ogrodów podmiejskich wyglądają wysokie tyki kwiatu Lisalu (rodzaj Agawy)



Zrosłe koronami pinje na drodze z Capetown do Stellenborchu

[1]) Afryka Południowa nie posiada wcale miękkiego drzewa. Sprowadzano je dotychczas prawie wyłącznie ze Szwecji. Obecnie eksportuje tam również i Polska. Szereg fabryk naszych zaopatrzył się w maszyny specjalne, by módz dostarczać przetarty materjał według wymagań tamtejszego rynku.



Jeden z licznych hoteli w podmiejskiej dzielnicy ogrodowej Capetoun'u położonej u stóp góry „Lwia Głowa"

glądały roześmiane fasady pięknych, białych willi z nieodzownym, sterczącym w górę, holenderskim szczytem.

Całe poranki schodziły na załatwianiu czynności przy okienkach przestronnych, monumentalnie zbudowanych banków, w labiryntach urzędów, w biurach adwokackich, w organizacjach i kooperatywach, do których należało uzyskać wstęp z tytułu przeistoczenia się na „fruit grower'a".

Pierwszą, o ile się tak można wyrazić, wolną chwilę wyzyskano skwapliwie na wyjazd do Stellenbosch'u, skąd po kilku milach bocznego traktu dojeżdża się do miejscowości Banhoek, w pobliżu której przed kilku miesiącami zakupiony został szmat ziemi, raczej górskiego wertepu, pod przyszłą sadybę i przyszły business.

Pan Lock prowadził. Z drogi przedostano się przez gęsto zarastające krzewy mimozy i drobne eukaliptusy. Falisty teren, pokryty odłamkami żółto-różowego piaskowca i porosły, jak cała Afryka Południowa, niskim, do kolan lub pasa sięgającym „bush'em", uniemożliwiał niemal całkowicie płci pięknej cyrkulację. Biada sukniom, biada jedwabnym pończochom! Trudno, pionierski żywot.

Z niemałym trudem przedarto się więc na wzgórze, z którego można było obejrzeć całość.

Lęk zrazu ogarnął obie panie. Byłoż warto porzucać wygodne, londyńskie pielesze, by zatracać się gdzieś, tu, na krańcach świata, rozpoczynać od karczowania ziemi, wystrzegać się prześlizgujących się między odłamkami skał jadowitych węży, mieć się na baczności przed stadami pawianów, które w rozpadlinach górskich skłonów mają swe niedostępne kryjówki.

Ale im bardziej tych troje par oczu rozglądało się wokoło, im się podnosiło wyżej, sięgając horyzontu, tem bardziej wracał w nie spokój, by wreszcie zajaśnieć wyrazem pełnym zachwytu.

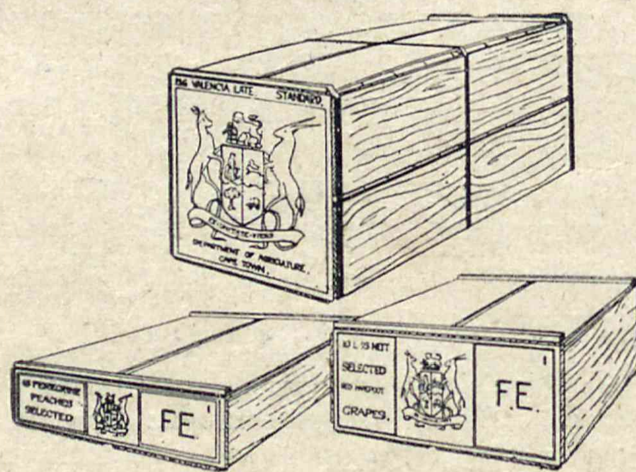
— How beautiful!

— Ależ tu pięknie!

Teren, nieregularny, falisty, opuszczał się dość raptownie, przechodząc w ogromną, kilkadziesiąt mil długą i bardzo szeroką dolinę. Kłębiaste kępy pinji znaczyły rozsypane w niej osiedla ludzkie. Koło nich białemi migotały punktami farmerskie domy. Wokoło zalegały regularne, prostokątne szmaty ceglasto-czerwonawej roli, pokreślone zielonemi rzędami winnic, lub szeregami owocowych drzew. Wszystko wreszcie kryło się pomału w szarawych, niebieskawych mgiełkach, przechodzących w różowawo-fiołkową dal. A z niej wyrastał siny, skalisty, groźny górski łańcuch: Drakenstein.

*

Dni dalsze przechodziły w żmudnej, ciężkiej, fizycznej pracy. Zakontraktowany przedsiębiorca robót ziemnych sprowadził i osadził na miejscu całą watahę czarnych rąk roboczych. W kilka godzin sklecono budy z blachy falistej, z resztek jakichś desek i wszelkiego śmiecia, będącego pod ręką. Powstało murzyńskie osiedle. Wkoło domków rozłożono wielkie ogniska, pożerające wszystko, co zbędne i palne. Poszły na płonące stosy niepotrzebne krzaki, trawy i mchy. Zapachniało w okolicy charakterystycznym dymem palonych eukaliptusów. Mocne, czarne ramiona, w gromadzie, z rytmicznym okrzykiem, zaczęły wyłamywać kamień po kamieniu, głaz po głazie i wynosząc na głowach, jak zwycięskie trofea, zwalały je w stosy.



Wzory skrzynek z pomarańczami, brzoskwiniami i winogronami

Potem przyszły maszyny. Zaturkotały motorowe pługi i kopaczki. Wytyczono drogi. Prowizorycznemi, drewnianemi rynnami skierowano gdzie należy wodę, ściekającą dotąd swywolnie potokami z okolicznych gór. W miejscu, gdzie ziemia okazała się przydatną do wyrobu cegły, zbudowano piec. Z wysiłkiem pracowały ciężarowe auta, zwożąc wszelki niezbędny do budowy materjał: cement, drzewo na krokwie, futryny do pięknych, według projektu wykonanych drzwi i okien, ze szlachetnego drzewa, glazurowane cegły na posadzki, schody, wreszcie całe stosy małych, długich snopków prostej, twardej trawy, którą, zwyczajem angielskim, kryje się dachy wszelkiego „fashionable country house". Nad wszystkiem czuwało oko p. Locka.

Domy w tym kraju są budowane nadzwyczaj szybko i starannie. Dzięki fachowości gospodarza robota szła w dwójnasób składnie. W kilka miesięcy dom mieszkalny był już gotów, również i parę gospodarskich, murowanych zabudowań. Niedość jednak na tem. Równocześnie odbywały się prace w ogrodzie. Po wykarczowaniu gruntu odmierzono pólka, przekopano głęboko kilka razy czerwoną, dziewiczą, żyzną ziemię, przygotowując ją pod winną łozę i owocowe drzewa. Wokoło domu założono ogród, pełen schodów i tarasów. Zasadzono drzewa i ozdobne krzewy, wreszcie moc kwiatów, tych kwiatów afrykańskiego południa, o których pięknie trzeba się własnemi oczyma przekonać, by módz sobie z ich czaru zdać sprawę.

Pod prostopadłemi promieniami słońca wszystko, co miało być suche, szybko wyschło „na pieprz".

Rychło więc opuściła cała rodzina holenderski, niezbyt dla Anglików gościnny, Stellenbosch i zjechała do nowej swej siedziby. Rozpakowywano niezliczone paki, a wnosząc pod własną strzechę ulubiony przedmiot po przedmiocie, wprowadzano z każdym z nich „dobrego ducha domu", którego kult sprawuje się w każdem angielskiem „Home".

(D. c. n.) *Jan Majewski*

ŚWIAT KSIĄŻKI

Ś. P. BR. GUBRYNOWICZ

We Lwowie zmarł po dłuższej chorobie ś. p. prof. dr. Bronisław Gubrynowicz. Wychował on liczny zastęp polonistów. Słuchacze jego podziwiali olbrzymią wiedzę historyczno-literacką, umiar i wytrawność sądu oraz metodologję ujmowania zjawisk piśmienniczych. W seminarjach ś. p. prof. dr. Br. Gubrynowicza zdobywano umiejętność obchodzenia się z tekstami, zamiłowanie do studjów literackich. Należał on bowiem do plejady najpoważniejszych naszych historyków i krytyków literatury. Z tego tytułu był członkiem Akademji Umiejętności w Krakowie, prezesem wydziału filologicznego Tow. Naukowego w Warszawie, prezesem towarzystwa przyjaciół „Ossolineum" we Lwowie.

Ogłosił drukiem szereg prac. W dorobku historycznym dużą wagę posiadają monografje: „Kazimierz Brodziński", „Malarze na dworze Jana III", „Rozwój powieści polskiej do połowy XVIII stulecia", „Antoni Małecki". Wydał pisma Juljusza Słowackiego w edycji zbiorowej. Opracowaniem tem posługiwali się liczni późniejsi wydawcy. Do specjalnych jego zasług należy wydawnictwo „Pamiętnika Literackiego". Czasopismo to przez lat trzydzieści ukazywało się na naszym rynku księgarskim wyłącznie dzięki jego ofiarności i zabiegliwości, przysporzyło życiu naszemu kulturalnemu wiele cennych studjów i przyczynków historyczno-literackich.



Ś. p. Bronisław Gubrynowicz
Według portretu Pochwalskiego

Ś. p. prof. dr. Bronisław Gubrynowicz pisywał i w naszym tygodniku. Niedawno drukowaliśmy świetny jego artykuł o „Don Karlosie" Fr. Szyllera.

Przedwczesna śmierć zasłużonego erudyty, wytrawnego znawcy literatury wzbudziła szczery żal w szerokich kołach naukowych, pedagogicznych i towarzyskich.

BILANS „ZET'U"

Od roku wychodzi w Warszawie dwutygodnik literacki pt. „Zet", poświęcony specjalnie stosowaniu i rozwijaniu doktryny filozoficznej Hoene-Wrońskiego. „Filozofja absolutna" tego myśliciela leży w podstawie sądów tego czasopisma o zjawiskach współczesnych ideowych, kulturalnych, artystycznych. Wynikają z tego często dysproporcje, choć nie można nie uznać głębszych intencji tego dwutygodnika. Na łamach jego znajdujemy nazwiska Jerzego Brauna, Bolesława Micińskiego, Paulina Chomicza, S. S. Witkiewicza, Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego. W dziale poezji pod redakcją Józefa Czechowicza produkują swoje liryki Stanisław Rogowski, Kazimierz Barnaś, Marjan Czuchnowski, Bronisław Przyłuski, W. J. Kapuściński, A. Kosko.

„Zet" zapowiada generalną dyskusję z komunizmem w ambitnem przeświadczeniu, iż „wysunięcie przez Polskę własnej doktryny, stanowiącej zbawienną przeciwwagę dla postępów komunizmu, wiąże się ściśle z jej misją historyczną w Europie"! Bilans tego dwutygodnika za rok ubiegły nie daje pola do specjalnych uwag. Konsekwentnie bowiem dąży do „dalekosiężnych celów", obcych „popularności, snobizmowi".

ZGON ZNAKOMITEJ POETKI

Hrabina Anna Mathieu de Noailles, znakomita poetka francuska, zmarła przed kilkoma dniami w Paryżu. Niedawno publikowała w „Annalles" swoje wspomnienia, darząc admiracją Paderewskiego, który tak muzyką, jak i czarem osobistym przed czterdziestu laty oddziaływał nadzwyczaj silnie na sfery arystokratyczno-artystyczne stolicy Francji. Znakomita poetka, młodziutka wtedy księżniczka de Brancoran, podziwiała w domu swoich rodziców „lwią czuprynę" mistrza tonów i romantyczny urok jego postaci. Ta romantyczność była jej szczególnie bliska. Z pochodzenia greczynka, naturalizowana we Francji, w sentymentach swoich zachowała koloryt Wschodu i wrażliwość na wdzięki Djonizosa. Jej sztuka poetycka wyróżniała się tą „wschodnią osobliwością" w dorobku literackim. Obok Moreas'a i Chemier'a reprezentowała grecką spuściznę, choć urodziła się w Paryżu i tu wzrastała. Spokrewniona z rodami mołdawskiemi książąt Bibesco i Mavrocordato, w tradycji swojej przechowywała i piękno ziem rumuńskich.

Krytyka francuska wysoko ceniła jej wiersze. Zbiory utworów hr. de Noailles, jak „Ombre des jours", „Forces éternelles", „Poêms de l'amour", postawiły ją na piedestał poezji i spowodowały wysokie odznaczenie. Była ona pierwszą kobietą, która otrzymała komandorję Legji honorowej, co uważane było w swoim czasie za wielkie wydarzenie.

Anna hr. de Noailles zmarła w stosunkowo wczesnym wieku. Liczyła zaledwie 57 lat. Jej salon przy ulicy Scheffer w Paryżu uchodził za „małą akademję literatury i sztuki". Na przyjęciach u znakomitej poetki bywali najznakomitsi pisarze i artyści, goszczący nad Sekwaną.



Anna Mathieu de Noailles

Interesujące światło na sztukę hr. de Noailles, jej upodobania artystyczne, kulturalne i towarzyskie rzuca książka, wydana niedawno p. t. „Le livre de ma vie". Są to właśnie te wspomnienia, które publikowały „Annalles".

Poezje hr. Anny de Noailles były wielokrotnie tłomaczone na język polski.

NOTATKI LITERACKIE

NIEWDZIĘCZNY SHAW

(s) Ostatnim etapem podróży Bernarda Shawa dookoła świata była Ameryka, gdzie głośny pisarz zatrzymał się przez dłuższy okres czasu. Wrażeniom swym ze Stanów Zjednoczonych dał Shaw wyraz w odczycie, który wygłosił przed dwoma tygodniami w sali Metropolitan Opera w Nowym Jorku. I tym razem świetny satyryk nie ukrywał swej opinji, lecz skrytykował wprost zjadliwie amerykańską kulturę, wywołując głosy oburzenia i protestu.

Przy okazji przypominają pisma, że amerykanie nie mieli nigdy szczęścia do angielskich pisarzy. Niepowodzenia te zaczęły się już od czasów Dickensa, który po swej podróży do Ameryki w 1841 r. przedstawił amerykanów bardzo niepo-

chlebnie w „Zapiskach amerykańskich" i w powieści „Martin Chuzzlewit". A przecież i Dickens był gościem, witanym i podejmowanym w Nowym świecie z gorącym entuzjazmem.

CO CZYTA ROSJA SOWIECKA

(s.). Wydawnictwo francuskie *Toute l'Edition* zestawia interesujący wykaz powieści francuskich, przetłomaczonych w ostatnim dziesiątku lat na język rosyjski i wydanych na sowieckim terenie. Jak się okazuje, najbardziej popularnym francuskim pisarzem w Rosji jest w chwili obecnej Romain Rolland, którego zbiorowe dzieła pojawiły się nakładem wydawnictw państwowych z przedmową Maksyma Gorkiego. Wydano również wszystkie książki dwóch znanych sympatyków bolszewizmu: Henri Barbusse'a i Panait Istrati'ego. Dużą popularnością cieszą się Georges Duhamel, Jules Romains i Pierre Hamp; sporo czytelników zdobyli również Pierre Benoit, Paul Morand i André Gide. Zasadniczo honorarja autorom obcym są wypłacane, jednakże sowiety wolą wypłacać je podczas pobytu autorów na terenie Rosji, wówczas bowiem regulują honorarja w miejscowym pieniądzu, zachowując dolary, funty i franki na inne konieczniejsze wydatki.

LITERATURA HITLEROWSKICH NIEMIEC

(s) Wewnętrzny przełom, jaki przeżywają Niemcy pod rządami Hittlera, zaczyna już odzwierciadlać się także w literaturze. W szeregu pism zmienili się nietylko naczelni redaktorzy i główni współpracownicy, ale uległa zmianie również treść i charakter pisma. Ewolucję tego rodzaju zauważyć można między innemi w znanym organie, poświęconym krytyce literackiej „Die litterarische Welt". Redakcja zamierza ograniczyć dział krytyczny, a natomiast poświęcić więcej miejsca pracom twórczym, oraz otworzyć szeroko łamy pisma dla młodej generacji, która „przyjmując w swej pracy odpowiedzialność wobec sumienia, narodu i Boga, stara się ukształtować obraz niemieckiego człowieka przyszłości".

PIERWOWZORY KIPLINGA

(s.). Dzienniki wychodzące w Indjach są — jak zapewnia „Manchester Guardian"—przepełnione w rubryce wypadków najdziwaczniejszemi opowieściami, jakich nie potrafiłaby stworzyć najbujniejsza wyobraźnia powieściopisarza. Z tego to źródła czerpał podobno Kipling liczne tematy do swych powieści i nowel. Na dowód tego przytacza wspomniane pismo, że właśnie na łamach tej prasy pojawił się w swoim czasie raport policji hinduskiej o znalezieniu „małego człowieczka", nowoczesnego „Mowgli'ego", wychowanego w dżungli przez dzikie zwierzęta. Ów człowiek-zwierzę biegał, posługując się wszystkiemi czterema kończynami, nie umiał mówić i wydawał tylko nieartykułowane, zwierzęce głosy, w stosunku do ludzi przejawiał podejrzliwy lęk trwożliwego zwierzęcia.

DOM RODZINNY D'ANNUNZIA

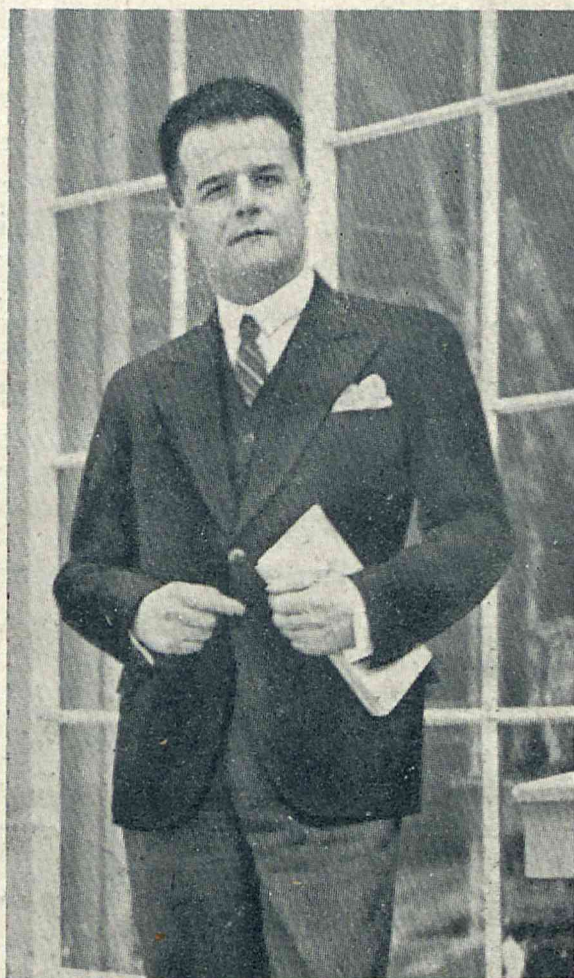
(s.). Z okazji przypadającej w tym roku 70-tej rocznicy urodzin Gabrjela d'Annunzio rząd włoski zakupił dom w Pescarze, w którym poeta ujrzał światło dzienne. Budynek zostanie jeszcze w ciągu roku odrestaurowany i zachowany jako narodowa pamiątka.

W przejeździe przez Polskę

Deputowany Jean Mistler rozmawia ze „Światem"

W ubiegłym tygodniu bawił w Krakowie i Warszawie wybitny literat i polityk francuski, deputowany radykalny, Jean Mistler, b. podsekretarz stanu sztuk pięknych. Wygłosił on dwa niezwykle interesujące odczyty, zorganizowane przez ruchliwy komitet warszawski „Alliance Française".

Jest to młody, szczupły mężczyzna, dbający z pewnością o dobór krawata, pokazujący w szczerym uśmiechu wszystkie swe białe zęby, które dziwnie kontrastują ze szpakowatą, bujną czupryną.



Jean Mistler

Na pytania odpowiada jasno, szczerze, patrząc bystro swemi mądremi oczyma.

— Jaki był cel pańskiej podróży?

— Polska jest jednym z krajów europejskich, które znam najmniej — odpowiada z miłym uśmiechem, — chociaż bardzo mnie interesują polskie zagadnienia gospodarcze i polityczne. Jestem u was dopiero drugi raz. W roku 1921 przejeżdżałem przez Polskę, wracając z Budapesztu. Obecnie jadę z Pragi Czeskiej. Niestety, zbyt krótko bawiłem w Krakowie. Żałuję, że tak mało miałem czasu na dokładniejsze zaznajomienie się z zabytkami waszej dawnej stolicy. Celem mojej podróży jest poznać Polskę. Tyle się o niej ostatnio mówi, a mało kto ją widział. Jednym z błędów naszej dyplomacji są papierowe rozważania; często też decyduje się o kwestjach nieznanych, przez osoby niekompetentne.

— Jakie wrażenie zrobiła na panu Warszawa? — pytamy.

— Niedawno wydałem biografję słynnego romantyka niemieckiego Amadeusza Hoffmana, którego życie w pewnym okresie było związane z Warszawą. To też natychmiast po przybyciu zwiedziłem Stare Miasto, w którym znajdują się, jak wyraził się Hoffman, — tak pociągające piwnice, że wystarczy przejść obok nich, aby naraz znaleźć się na dole. Tak starał się Hoffman wytłumaczyć początki swego nałogu. Zwiedziłem i ja ostatnią malowniczą piwnicę Fukiera, lecz mam nadzieję, że nie pociągnie to za sobą przykrych konsekwencji. Une fois n'est pas coutume" — dodał śmiejąc się.

— Co najwięcej podobało się panu w Warszawie?

— Naturalnie Łazienki. Wprawdzie staw był spuszczony, a drzewa jeszcze pozbawione liści, ale pałac jest piękny i mogę go porównać tylko z „Trianon".

— Czy pan nie odwiedzi Pomorza?

— Niestety, nie mam czasu. Tego właśnie najbardziej żałuję. Wiem, że ludność Pomorza i cała prowincja są ściśle związane z Polską. Lecz myślę, że właśnie dlatego Polska powinna ułatwić w jaknajszerszym zakresie tranzyt na tym obszarze, co już w wielkiej mierze zostało uczynione. W ten sposób zakusy niemieckie staną się tembardziej bezpodstawne.

— Jak pan minister zapatruje się na propagandę rewizjonistyczną w Europie?

— Sądzę, że rewizja traktatów, naprawiając rzekome krzywdy, stwarzałaby nowe znacznie większe. Dyktatura czterech mocarstw jest dla mnie absurdem. Od samego początku głośno występowałem przeciw temu projektowi.

— Czy nie zauważył pan pewnego ochłodzenia stosunków francusko-polskich?

— Ze strony francuskiej — nie, z polskiej — tak. Wiem, że pewne zaniepokojenie powstało w kołach politycznych polskich podczas trwania konferencji rzymskiej. Posądzaliście nas o jakieś specjalne awanse w kierunku Włoch. Nie wypowiadam się wcale za ścisłą współpracą francusko-włoską. Uważam jednak, że w interesie obu państw leży, aby stosunki między niemi były poprawne. Jestem tego samego zdania o stosunkach polsko-niemieckich.

Żegnając się, pan Mistler powiedział:

— Proszę napisać, że w żadnym kraju, poza granicami Francji, nie spotkałem na swych odczytach tak doskonale rozumiejących mój język słuchaczów, jak w Polsce. Bezpośrednia wrażliwość publiczności, łapiącej w lot finezje i odcienie mowy, ułatwiała mi ogromnie zadanie.

L. M.

Z WYSTAWY ALEKSANDRA LASZENKI W ŁODZI



„SIERPIEŃ W LUKSORZE"

Obrazy, które mają opowiadać o Polskiem Pomorzu

Liga Morska i Kolonjalna wysyła niebawem do Stanów Zjednoczonych wystawę malarską, mającą na celu propagandę polskiego Pomorza i tego skrawka wody, który nazywamy morzem polskiem.

Ma to być odpowiedź na rewizjonistyczne zakusy niemieckie odnośnie do korytarza. Sto siedemdziesiąt osiem eksponatów, doskonałych obrazów olejnych, akwarel i grafiki zamierza spełnić doniosły czyn propagandowy i objaśnić obcych ludzi, że ten rąbek ubogiego piachu, który otwiera nam drogę w świat, od wieków przynależy integralnie do Polski, że współczesna praca polska uczyniła z dzikiego, zaniedbanego wybrzeża potężny ośrodek cywilizacyjny, podniosła dobrobyt tamtejszych mieszkańców, czujących zawsze swą przynależność rasową i kulturalną do naszej Rzeczypospolitej.

Nic bardziej przekonywującego, jak mowa dzieł sztuki.

Czy jednak te obrazy, niewątpliwie doskonałe, jako dzieła sztuki, posiadające wszystkie wartości artystyczne — i finezję rysunku i znakomitą kompozycję i blaski wybornej kolorystyki — dość będą wymowne, aby przemówić do miljonowych rzesz amerykańskich?

Obawiam się, że nie — i jestem przekonany, iż zadowolą najwybredniejsze nawet smaki pięknoduchów, jeszcze raz pokażą cudzoziemcom, że polska sztuka posiada wiele świetnych nazwisk i żywiołowych talentów, ale celu propagandowego nie spełnią w takim stopniu, w jakim spełnić zamierzają.

Dlaczego?

Jest tragedją propagandy polskiej, że odbywa się ona przypadkowo, wedle staropolskiego wzoru „nagle i po djable", że nie odróżnia się dobrego dzieła sztuki od dobrego dzieła propagandowego.

Nie wszystko, co jest artystycznie świetne, spełnia tak dydaktyczny cel, jakim niewątpliwie jest każda propaganda, mająca zawsze za zadanie stwierdzić w ostatecznej przesłance, że ja mam rację, a nie mój konkurent. Pełen jestem wielkiego podziwu dla talentu pp. Kędzierskiego i Wyczółkowskiego, Grabowskiego Adama, Łopieńskiego i wszystkich po kolei artystów reprezentowanych na wystawie, mającej niebawem odjechać do Ameryki, ale w jaki sposób doszukać się w ich obrazach stwierdzenia, że Pomorze było i jest polskie?

Czyż uczynią to kolorystyczne symfonje lub arcydzieła rysunku? Gdzie ten moment twórczej pracy współczesnej polskiej, która przemieniła piaski w miasta i wsie tętniące życiem? Gdzie argumenty historyczne? Zaledwie dwie skromne prace graficzne I. Łopieńskiego ukazują nam Gdynię z roku 1922 i to samo miejsce w jedenaście lat później, zaledwie kilka obrazów mówi o dawności kultury polskiej na Pomorzu. Gdyby tym samym znakomitym malarzom kilkanaście miesięcy temu powiedziano: róbcie wystawę propagandową, wyciągnijcie i utrwalcie na obrazach historyczne prawa Polski do Pomorza, odbijcie niemiecki tynk z polskich murów, spojrzyjcie w muzea i archiwa, aby ukazać ducha dawnej kultury polskiej.

Powstałaby napewno wystawa tak zdumiewająca dla całego świata, że może nawet i Lloyd George, powodowany chrześcijańską sprawiedliwością, wpisałby się na członka „Związku Obrony Kresów Zachodnich".

Tymczasem szlachetni i pełni najlepszej woli inicjatorowie tej wystawy stanęli przed zadaniem: zgromadzić wszystko to w najlepszej sorcie, co powstało przypadkiem na temat Pomorza.

I zgromadzili świetną wystawę dla amerykańskich pięknoduchów...

Niech jej da Pan Bóg powodzenie na antypodach!

Witołd Bunikiewicz

WYSTAWA A. LASZENKI W ŁODZI

W Łodzi otwarto wystawę prac Aleksandra Laszenki, znanego malarza motywów wschodnich. Wystawa w salach Eiserta przedstawia się bardzo bogato, zawiera bowiem około 60 obrazów, z których większa część reprezentowała twórczość tego artysty na jego wystawie, urządzonej niedawno w Brukseli.

Obok prac olejnych, malowanych z dużą wprawą techniczną, umieszczono na wystawie dzieła graficzne Laszenki, tak zwaną „Tekę Wschodnią", która cieszyła się szczególnem uznaniem w Belgji.

A. Laszenko jest jednym z tych niewielu malarzy, którzy całą swą niemal twórczość poświęcili egzotyce romantycznego Wschodu. Niezwykłe dla Europejczyka tematy, intensywność światła i kolorów stanowią same już dla siebie tak łakomy problem artystyczny i w ten sposób oddziaływują na wyobraźnię widza, iż sztuka obracająca się w tych ramach budzi zawsze duże zainteresowanie.

A jeśli dodać do tego osobliwą atmosferę dzisiejszą, która sprzyja egzotyce, jako przeciwwadze szarych, żmudnych udręczeń dnia dzisiejszego, śmiało można liczyć na szeroki resonans.

Ma go Aleksander Laszenko, stworzył sobie szeroki krąg wielbicieli i tam trafia, gdzie rzadko dociera powiew zamiłowań artystycznych i ukochanie rzeczy pięknych.

W. B.



Artysta-malarz prof. A. Laszenko podczas studjów w Afryce

Teatr Narodowy: „Wir", komedja N. Coward'a



Ćwiklińska, niezrównana w swej kreacji, i Wesołowski, posągowy sportsman



Lubieńska, urocza nowoczesna miss angielska i Ziembiński, doskonały w roli młodego nerwowca

Fot. J. Malarski

Premjera w Narodowym

„Wir" (The Vortex) Cowarda
w przekładzie T. Drzewieckiej

Noel Coward, — nawiasem mówiąc, najwięcej dziś grywany autor angielski na scenach kontynentu i Ameryki, — nie jest bardziej uprzejmy dla swoich współziomków, niż jego znakomici koledzy: Wilde, Shaw, Galsworthy, Maugham, Hakett czy Lonsdale... Względnie najbardziej wyrozumiały jest „najgroźniejszy" z pośród nich: G. B. Shaw — wystarczy mu para zębów, wybitych policjantowi londyńskiemu. U Wilde'a, czy Lonsdale'a musi być grubszy skandal, muszą ginąć drogocenne naszyjniki, wśród urodzonych lordów przechadzają się zawodowe miłośnice i fachowi złodzieje... (Zapewne, o uczciwych towarzystwach, jak o szczęśliwych narodach, nie pisze się.. komedji).

W *Vortex'ie* Coward'a również jest „skandal". Ale nieco odmienny. Bez miłośników cudzej własności, bez fachowych miłośnic. Są nawet dwa skandale: starzejąca się piękność i — kokaina! „Koko": słowo straszliwe dla wyrafinowanych mieszkańców Londynu, Paryża czy Berlina! (U nas, na szczęście, jeszcze nie budzące grozy...).

Z początku wygląda to wszystko zgoła wesoło, dowcipnie (inteligentnie) i tańcująco. Ale pod beztroską tang i trottów kryje się zdradliwy *Wir* i stopniowo, powoli marszczy się powierzchnia gładkiego salonu i zaczyna działanie *vortex'u*...

Z imponująco fachową maestrją (Coward jest wybitnym aktorem i sam grywa główne role w swoich sztukach) gromadzi autor poprzez wesołość pierwszych dwóch aktów coraz dramatyczniejsze argumenty efektów scenicznych, by w finalnym akordzie aktu III-go doprowadzić — wzorem najlepszych majstrów francuskich: Sardou i Bernsteina — do t. zw. *scène a faire*, „wielkiej sceny", wielkiego popisu aktorskiego dla dwojga protagonistów: znakomitej aktorki w roli matki i utalentowanego partnera — syna.

I tutaj czeka na widza pułapka: rodzajowo-groteskowa demonstracja towarzyskiego „skandalu" zamienia się pod piórem autora-aktora w wstrząsającą, brutalną, ale *wysoce moralną* scenę oskarżenia i potępienia — rozpustnej matki przez syna — kokainistę! Ogłuszonych, zaskoczonych, porywa nas *wir* elementarnego wzruszenia...

Co cowardowskiego Cowardowi, ale conajmniej tyleż albo i więcej oddać należy Mieczysławie Ćwiklińskiej. Ta cudownie rasowa aktorka dała w roli matki rewelację szczerości, jaką się tylko na szczytach aktorstwa odnajduje! Na deszcz wzruszenia ze sceny odpowiedziała widownia burzą podziwu i entuzjazmu. W błyskawicach sukcesu Ćwiklińskiej odsłonił się nieprzeciętny, kulturalny talent Zbigniewa Ziembińskiego w roli syna. Młody artysta przeżył wieczór podwójnego zwycięstwa: aktorskiego i reżyserskiego. To ostatnie podzielić musi z sugestywnem czarodziejstwem palety Karola Frycza (bajka — z tysiąca nocy angielskich — aktu II-go!) i ofiarnemi talentami grona czujnych wykonawców: Karoliny Lubieńskiej, Hanny Różańskiej, Wandy Jarszewskiej, Łaskiej, Tadeusza Wesołowskiego, Norskiego, Janusza i Ciecierskiego.

Tak podany *Wir* ma szanse porwania nawet opornych, których (jak zwykle) nie brakowało i tym razem...

Teatr Nowy: „Kwadrans przed świtem", sztuka Juljusza Wirskiego Fot. J. Malarski



Żeliska w roli skazanej na śmierć, i Myszkiewicz, jako strażnik więzienny *Justjan, znakomity w roli prokuratora*

Świat teatru

Warszawskie Teatry Miejskie

Obydwa teatry dramatyczne, Narodowy i Letni, przygotowują na czas najbliższy (Narodowy już na połowę następnego tygodnia) nowe sztuki polskie. Więc:

Narodowy — komedję aktualną Kazimierza Wroczyńskiego p. t. *„Kobiety i interesy"* w reżyserji Ludwika Solskiego i w obsadzie: Gellówny, Gorczyńskiej, Lindorfówny, Samborskiego, Węgrzyna, Łapińskiego, Sochy, Hnydzińskiego, Rolanda i in.

Letni — komedję 3-aktową Stefana Kiedrzyńskiego *„Ten stary warjat"* w reżyserji Emila Chaberskiego, z udziałem: Mili Kamińskiej, Nakonecznej, Fertnera, Kurnakowicza, Orwida, Dominiaka, Michalaka i in.

Do czasu wystawienia „Warjata" grana będzie dowcipna, błyskotliwa komedja Achard'a *„Trzeba mieć szczęście"*, która swoje szczęście w dużej mierze zawdzięczać będzie szczęśliwym ulubieńcom publiczności: Marji Malickiej i Jerzemu Leszczyńskiemu pomnożonym przez utalentowaną dwójkę: Janinę Macherską i Józefa Orwida.

Prawda i plotki o Mistinguett

— Mlle Mistinguett!... — Tak, wyraźnie „mademoiselle" — anonsuje „gwiazdę" conferencier, i wogóle Mistinguett we wszystkich swoich enuncjacjach na zewnątrz — podkreśla swoje panieństwo.

— Nie byłam dotychczas zamężną — powiedziała mi — i szukam wciąż męża... Wątpię jednak, abym znalazła odpowiedniego, bo wogóle nie lubię mężczyzn i uważam, że najlepiej nadają się do noszenia pakunków... Wiem, że opowiadają niestworzone rzeczy o moich romansach, ale to wszystko plotki, brednie... Uwielbiam tylko zwierzęta i dzieci... W moim pałacu pod Paryżem, który był niegdyś własnością kochanki Ludwika XVI, Madame Dubarry — mam 11 psów, 5 kotów, dwie małpy, papugę, panterę i lamparta... Co zaś tyczy się dzieci, to bardzo żałuję, że ich nie mam... Własne dziecko— to największa rozkosz życia!... — Co prawda przypisują mi tych dzieci — nie wiem ile!...

Mistinguett przedstawia mi młodą, ładniutką blondyneczkę, krzątającą się po hotelowym pokoju przy wypakowywaniu waliz...

— To moja bratowa, a zarazem sekretarka, pani Bourgeois... Naturalnie jacyś dziennikarze napisali odrazu, że to moja córka... Wogóle dziennikarze są bardzo łaskawi... Dodali mi 18 lat i zrobili ze mnie „fenomen", to też teraz wożę ze sobą wyciąg metryki... Proszę! oto jest!...

Wedle wyciągu z metryki, wystawionej przez merostwo w Montmorency — Mistinguett czyli Jeanne Bourgeois — ma 45 lat...

A jak na ten wiek — powiedzmy otwarcie — twarz i szyja artystki są już porządnie poznaczone zębem czasu... Czy warto zatem pokazywać metrykę, czy warto rozwiewać legendę, „fenomena", o współczesnej Ninon de Lenclos, po to, aby ustalić fakt, że 45-letnia kobieta oglądana zbliska — bez „maquillage'u" scenicznego — robi wrażenie przywiędłej i zmęczonej życiem...

Ale to nie dotyczy nóg Mistinguett!... Te nogi są naprawdę rozkoszne, prześliczne, wymowne i mają zawsze osiemnaście lat!...

J. Migowa.

„Boccaccio" w „Morskiem Oku"

Widowisko reżysersko, inscenizacyjnie i muzycznie wypracowane jest — z największą precyzją i artystycznem poszanowaniem szczegółów...

Dekoracje i kostjumy projektowane przez Daszewskiego, oryginalnie stylizowane, chóry reżyserowane przez Leona Schillera nietylko śpiewają doskonale, ale i współgrają... Orkiestrą sprawnie kieruje Zygmunt Wichler... Mankiewiczówna w swej męskiej roli wygląda uroczo i śpiewa bardzo ładnie... Dużo wdzięku ma Żabczyński, jako Pietro.. Dobrą trójkę komików tworzą Kondrat, Minowicz, Sielański...

A jednakże pomimo tych niezaprzeczalnych walorów — widowisko chwilami dłuży się i nuży.

J. M.

W kilku wierszach

Nowe sztuki polskie

Znakomita powieściopisarka Zofja Kossak-Szczucka wystawiła w Teatrze Polskim w Katowicach pierwszą swoją sztukę p. t. *„Przeklęte srebro"*. Jest to

baśń z życia śląskiego w wieku XVI-ym. Sztukę przyjęła krytyka i publiczność bardzo życzliwie.

Teatr Krakowski wystawi niebawem sztukę artysty dramatycznego (ostatnio Teatru Polskiego w Warszawie) Romana Niewiarowicza p. t. *„Ludzie na sprzedaż“* Artysta napisał jeszcze drugą sztukę p. t. *„Bunt automatów“*, który złożył również teatrowi karkowskiemu.

Irena Solska wystawia na jednej ze swoich scen w Warszawie 3-aktową komedję p. Ireny Rzepeckiej p. t. *„Jesień, Zima, Wiosna“*.

Dwadzieścia lat teatru

Jan Lorentowicz wydał trzeci tom swoich recenzji teatralnych, objętych tytułem „Dwadzieścia lat teatru“. W tomie tym znajdujemy omówienia sztuk włoskich, niemieckich, skandynawskich, hiszpańskich, holenderskich, rosyjskich, czeskich, chorwackich, żydowskich i japońskich, grywanych w tym okresie na scenach polskich w Warszawie. Książka J. Lorentowicza dla historyka teatru będzie wartościowem źródłem zarówno dla poznania repertuaru, jak i kryterjów literackich. Tom trzeci, jak i poprzednie, jest bardzo pakowny: zawiera 562 stronice.

Mussolini pisze nową sztukę teatralną

Znakomity artysta wiedeńskiego Burgu, Werner Krauss, odtwarzający jak wiadomo rolę Napoleona w sztuce Mussoliniego i Forzana „Sto dni“, poleciał między jednem przedstawieniem a drugiem z Wiednia samolotem do Rzymu(!) zamówiony na godzinę 6-tą popołudniu do ekscelencji autora. *Duce* przyjął „swojego aktora“ na specjalnej audjencji, obdarował fotografją z dedykacją: „władcy sceny...“ i zwierzył się, że pisze nową sztukę, w której rolę naczelną Cezara zgóry przeznacza dla Wernera Kraussa z życzeniem, aby ją kreował. Na wydanej następnie na cześć artysty oficjalnej uczcie polecił Mussolini współautorowi sztuki J. Forzano omówić z Kraussem przyjazd zespołu wiedeńskiego Burgu do Rzymu z przedstawieniami „Stu dni“ po niemiecku.

Prapremjera nowej sztuki Mussoliniego odbyła się oczywiście po niemiecku — prawdopodobnie na scenie „Burgu“.

Jubileusz Franciszka Józefa w Wiedniu

W wiedeńskim „Volks“ – teatrze odegrano po raz 100-ny „reportaż historyczny“ R. Duschinsky'ego „Cesarz Franciszek Józef“. Od szeregu już lat żaden utwór dramatyczny w Wiedniu nie osiągnął tej liczby przedstawień.

Zanosi się na podobny sukces dramatu Mussoliniego i Forzana o Napoleonie w „Burgu“. Wśród publiczności wiedeńskiej odżyły upodobania — cesarskie...

Voilà Varsovie...

(bg.). Z powodu cieszących się fenomenalną (jak na obecne czasy!) frekwencją występów „wiecznie młodej“ *divy* paryskiej czytamy w „Kurjerze Polskim“ następujące uwagi:

„Wśród polskich artystów t. z. „widowiskowych“ („Polzawid“) panuje straszna nędza. I oto w takiej chwili wprowadza się do stolicy zespół francuski z artystką, której nazwisko zapisane jest złotemi głoskami w dziejach music-hallu, ale ma już dźwięk wybitnie historyczny, i w obliczu *rygorów francuskich* dla wszystkich wyjazdów z Polski do Francji i przerażającej nędzy artystów polskich pozwala się wywozić grube pieniądze z Polski“.

Piszący powyższe słowa nie dodał, iż od dnia występów „boskiej“ Mistinguett *katastrofalnie spadła frekwencja we wszystkich bez wyjątku teatrach warszawskich.* Te *piętnaście tysięcy złotych* dziennie, które co wieczór inkasuje „Alhambra“, niewątpliwie w dużym odsetku odebrane zostały kasom teatralnym stolicy.

Jedno jest tylko pocieszające w tej inflacji zainteresowania się stołecznej publiczności sztuką rewjową: to, że — jednakże na szczęście! — niema w Warszawie zdecydowanego *kryzysu gotówki.* Trzeba tylko pary zręcznych „niestarzejących“ się nóżek, aby ją wydobyć. Ręce i głowa tego nie potrafią.

Wytworni panowie

Artysta Teatru Narodowego p. Zbigniew Ziembiński zwracał uwagę publiczności swym wytwornym smokingiem i jasnym garniturem z pracowni P. Borkowskiego i Syna (Żórawia 17), wykonanym specjalnie na ostatnią premjerę.

Ciemny zielony garnitur dwurzędowy w którym ukazał się p. Ryszard Kierczyński na premjerze w Teatrze Letnim, pochodził również z pracowni P. Borkowskiego.

Tydzień muzyczny

Ubiegły tydzień zapisał się chlubnie w kronice sezonu. We wtorek Huberman dał własny recital, który przepełnił salę Filharmonji.

Na piątkowym symfonicznym — grał



Bronisław Huberman

R. Casadesus koncert „A“ Liszta, z właściwym sobie urokiem. Nowością był jego własny koncert fortepianowy, kompozycja naogół dosyć blada. W drugiej części — lento — parę ładnych nastrojów o przyjemnem brzmieniu.

Niedziela — poświęcona była wielkiemu jubilatowi, J. Brahmsowi (ur. 7.V. 1833 r.). Na poranku: pieśni w wykonaniu wysoce artystycznem i muzykalnie skończonem p. Stanisławy Korwin-Szymanowskiej.

Po południu — „koncert podwójny“ na skrzypce i wiolonczelę, odegrany przez Hubermana i Wiłkomirskiego oraz boski koncert skrzypcowy D.

W tym ostatnim zwłaszcza przeszedł mistrz Huberman samego siebie. To też spotkał się z owacją, jakiej sala Filharmonji dawno nie widziała: publiczność rozentuzjazmowana powstała z miejsc i przez 10 minut nie milkły oklaski.

Jak widzimy, godnie uczciła Warszawa Brahmsa, którego genjusz coraz plastyczniej urasta z oparów wspomnień i zgiełku walk XIX wieku, wznosząc się ponad kierunki, prądy, szkoły i kapliczki. Ci, co pamiętają tryumfy wagneryzmu i późniejszą zachłanność muzyki symbolicznej i programowej, kiedy to Brahmsa traktowano zgóry lub zgoła drwiąco, ze zdziwieniem lub przyjemnością — zależnie od wyznawanych wówczas poglądów — są dziś świadkami tego narzucającego się wszystkim rewanżu genjalnej czystej muzyki. Co za świeżość, co za pełnia natchnienia. Chciałoby się krzyknąć pod adresem tych wszystkich, co muzykę pragnęliby sprowadzić do rzędu nauk matematycznych: oto jest muzyka.

M. Kl.

N. DRUCKA

W SKLEPIE Z ZABAWKAMI

(Z WĘDRÓWEK DONKICHOTKI)

Padał wielki, mokry śnieg. Chodniki i ulice były już dobrze białe. Dopiero zapalono latarnie. Wczesny wieczór walczył z gasnącym na różowo dniem.

Przy sklepach z biżuterją, książkami, a nawet z jedzeniem przystawali ludzie. Tak sobie, nie z zamiarem kupna. Popatrzeć. Przy szerokiej witrynie, za którą siedział bronzowy, bezmyślnie wpatrzony przed siebie niedźwiedź, uśmiechały się wytrzeszczonemi oczami, nowoczesne lalki-kaleki, szczerzył biało-czerwone zęby bęben, zaraz mógł jechać, nieruchomy narazie, samochód i tłoczyło się jeszcze sporo zabawek, — stał chłopak lat ośmiu i od paru minut chłonął cudowny widok z poza gładkiej, wystawowej szyby.

Prawdopodobnie nie po raz pierwszy przyglądał się tym pięknym rzeczom. Tędy chodził codzień i codzień musiał zatrzymać się i spojrzeć w guzikowe oczy niedźwiedzia.

Nie łączył w żaden sposób swojej osoby z temi ciekawemi przedmiotami, których nigdy nie oglądał z blizka, ani też w ręku nie trzymał; to było takie dziwne, do życia codziennego niepotrzebne, a przedewszystkiem niedostępne.

Raz jeden powiedział do Ziutka, co to jego matka jest praczką, a ojciec niewiadomo gdzie się podział:

— Morowy ten wielki samochód, ot żeby kupić taki!

Ale to nie było istotne marzenie, jak naprzykład o kupnie obwarzanka za pięć groszy. Powiedzenie do Ziutka miało charakter retoryczny...

Nie drgały muskuły na twarzy chłopca, gdy obmacywał sprytnemi, czarnemi oczami: rower, fuzję, albo znów szereg kolorowych książek z obrazkami na okładkach, ustawionych wyżej, na bocznych półkach. Ani zachowaniem, ani wyglądem dziecko nie zwracało na siebie uwagi. Było ubrane ubogo, łapy miało zmarznięte i czerwone; takich dzieci w wielkiem mieście i wogóle po świecie widuje się tysiące.

To też niewiadomo dlaczego zaczepiła je Donkichotka.

— Podoba ci się? — spytała, stając obok chłopca i zatrzymując jednocześnie ruchem ręki Panszównę, która miała zamiar iść dalej.

Chłopiec spojrzał do góry, bo pani, która do niego mówiła, była ogromnie wysoka i po długiej chwili namysłu odrzekł:

— Uhu.

— A jak ci na imię?

— Mnie? — chłopak znów zadarł głowę. — A no, Janek.

Chciał odejść.

— Słuchaj, to ci się bardzo podobają te zabawki, szczególnie ten samochód, co?

— A no, czemu nie?

— Chodźmy — zawołała Panszówna — spóźnimy się na pociąg.

— Czekaj, czekaj, mam wspaniałą myśl.

Donkichotka wzięła Janka za rękę i zrobiła krok ku wejściowym drzwiom. Chłopiec wyrwał dłoń i miał zamiar uciec.

Donkichotka zatrzymała go łagodnie.

— Nie bój się chłopcze, nie zrobię ci żadnej krzywdy, tylko powiedz mi jedno: czy bardzo byś się ucieszył, żebyś mógł dostać wszystko, co ci się marzy, z tego sklepu?

Janek spojrzał wesoło i lękliwie zarazem, na dziwną panią w żółtem futrze.

— Wiadomo!

— A powiedz, czy często przychodzisz tu i patrzysz przez tę szybę?

— My tu mieszkamy na tej ulicy, no to często.

— A widzisz, widzisz — ucieszyła się Donkichotka — to pójdziemy.

— Nowe dziwactwo — wzruszyła ramionami Panszówna — nie będę wchodzić, kup jakiś drobiazg i śpiesz się.

Donkichotka i chłopiec znikli w drzwiach.

Czekać trzeba było długo. Panszówna gniewała się i spoglądała co chwila na zegarek.

Gdy wreszcie drzwi otworzyły się i Janek przepchał się przez nie, dźwigając z trudem samochód i jeszcze z pięć wielkich, kolorowych, nieowiniętych, widocznie ze względu na pośpiech, zabawek, Panszówna załamała ręce.

— Więc pamiętaj, Janku, — pouczała go Donkichotka — że w życiu jednak bywają cuda!

Chłopiec nie słuchał; w obawie, by przygoda nie zamieniła się w złośliwy żart, zmykał możliwie szybko w kierunku swego domu.

— Czyś oszalała? — zawołała Panszówna—ile wydałaś na tę nową fantazję?

— Ile? — powiedziała rozpromieniona Donkichotka, — a no wszystko, co miałam przy sobie, przeszło sto złotych.

— Boga się nie boisz! Za co wyjedziemy teraz, pociąg odchodzi za pół godziny.

— To nic, to nic — machała rękami — pojedziemy jutro albo i wcale.

— Oburzające! Czy ty rozumiesz, że to, coś uczyniła, jest głupie, bezcelowe, niemoralne, tak, — właśnie niemoralne. Za te pieniądze można było nakarmić sto głodnych dzieci.

— Wiem, wiem — uśmiechnęła się Donkichotka i wzięła przyjaciółkę pod rękę. — Chodźmy, po drodze ci wszystko wytłumaczę.

— Mówisz, sto głodnych dzieci, oczywiście. W ciągu jednego, dajmy na to dwóch dni, będą syci, a potem znowu nie. Zresztą, dzieci głodnych jest chyba więcej, niż sto! A Janek jest jeden, ale zato ten jeden poznał dobrodziejstwo przeniesienia się, bodaj na chwilę, w krainę bajki. Może, prawie napewno, uratowałam mu życie. Tak, nie dziw się. Czy wiesz, co to jest pragnienie, marzenie dziecka? Gdy się chce czegoś koniecznie, do łez, do rozpaczy. Otóż Janek codzień oglądał te cacka, cudze, takie upragnione, a wrogie przez tę obcość straszliwą. I raptem, zrozum ważność tego, co mówię, raptem staje się cud! Dzień jest taki, jak każdy inny, ani Wilja, ani imieniny, ani choroba. Zimny dzień ze śniegiem, z kiepskim, może głodowym obiadem, ze szturchańcami i zziębnięciem nóg, gdy się wyjdzie na ulicę. I właśnie takiego małoważnego dnia zaczepia go jakaś dziwna pani i nieproszona daje mu zabawki, różne, wszystkie, które tylko chce. Może je zabrać ze sobą, może niemi się bawić zawsze, codzień, cały dzień. Przecież od tej chwili Janek musi uwierzyć w cud! A gdy wyrośnie, gdy życie twarde, okrutne zetrze go na proszek, gdy zniknie nadzieja na lepsze jutro, gdy przestanie wierzyć w logikę istnienia, w miłosierdzie ludzkie i boskie, gdy głodny, może chory, może po dokonanej zbrodni, przyjdzie na brzeg rzeki, aby dokonać żywota w sposób najpewniejszy i najtańszy, może wtedy, wtedy napewno, przypomni się mu dzień dzisiejszy. Stanie mu przed oczami wysoka, brzydka pani, niczem zewnętrznie nie przypominająca dobrej wróżki i on sam, chudy, mały, obładowany skarbami. Będzie musiał pomyśleć, że jeśli raz mogło się stać... A przecież wiara w możliwość cudu, jest w stanie podźwignąć człowieka z dna najgłębszej rozpaczy, ostatecznej nikczemności... Zawróci Janek z nad rzeki i sprobuje dalej żyć, a próba — to już życie. No a potem nie cud, lecz przypadek przesunie zwrotnicę... i dzieło moich rąk będzie dokonane...

. . . .

Przyjaciółki dochodziły do dworca, z którego dawno już odszedł ich pociąg, a Janek jeszcze płakał na stopniach komisarjatu, dokąd, go przyprowadził policjant, i, zarzucając mu kradzież, odebrał samochód, niedźwiedzia i kolorowe książki z obrazkami na okładkach...

Słucham Radja

W ostatnich dwóch tygodniach szerokie rzesze radjosłuchaczy z radością powitały transmisję nabożeństwa z Jasnej Góry. Uroczyste nabożeństwo, transmitowane 3-go Maja, zaczęto i ukończono starym z XIV-go wieku hejnałem królewskim. Podczas nabożeństwa chór, złożony z dziesięciu tysięcy dzieci, odśpiewał trudną pieśń „Bogu Rodzica" oraz inne pieśni marjańskie. Krótki i zwięzły reportaż p. red. Strzetelskiego uplastycznił wrażenia słuchowe.

Wspominając o 10.000-ym chórze dziecięcem, parę słów ogólnych dodać należy o chórach tego typu. Państwo wieloma drogami dąży do pogłębienia kultury muzycznej w kraju. Zbyt mało myśli się jednak o dzieciach. Chóry dzieci, organizowane podobnie do jasnogórskich, powinny powstawać na terenie całej Polski. Pedagogicznie biorąc, ma to podwójną wartość, gdyż poza kształceniem słuchu i głosu wyrabia znakomicie takt i karność społeczną. Są to cenne walory dla każdego narodu i trzeba się troszczyć o ich wyrobienie zwłaszcza u dzieci.

*

Z działu koncertowego z uznaniem przypomnieć należy świetną audycję mistrzowskiej gry fortepianowej Orłowa oraz wspaniały koncert Cassadesus.

Słuchowisko Br. Winawera „Smaczny chleb kłamstwa" wypadło dobrze. Zradjofonizowano i skrócono sztukę bardzo udatnie.

Audycja wesoła p. t. „Zabawmy się w rewję", złożona z dobrych płyt pomysłu i wykonania speakerki p. Warneckiej, napewno podobała się wszystkim.

Nie można tego powiedzieć o feljetonie literackim p. t. „Wiosna w Polsce". Było to raczej wypracowanie szkolne — ckliwe, przesadne i nie interesujące.

Nowy typ reportażu stworzył redaktor Tadeusz Strzetelski. Jego „Debata z Angielskiej Izby Gmin o sprawach polskich", napisana i wykonana z dużym zrozumieniem radjofonji, trzymała słuchaczy w napięciu od początku do końca. Jest to nieznany jeszcze u nas typ audycji, który przyjmie się napewno, wnosząc z udanej „premjery".

Nowym utrapieniem słuchowisk stały się ostatnio krótkie przerwy od dwóch do pięciu minut, wywołane prawdopodobnie błędnem obliczeniem czasu. Słuchowiska muszą tak jak wszystkie inne widowiska — mieć swoje tempo. Przerwy zaś zmuszają do zamykania radjoodbiorników, przyczem zainteresowanie stygnie. Widoczne są wprawdzie dobre chęci PP. speakerów w łataniu dziur różnego rodzaju komunikatami, są to jednak łaty przykre, bo nadmiar komunikatów jest nadal stałą bolączką programów radjowych.

W następnym tygodniu wydają się nam polecenia godne: 12.V. b. r. *Koncert uczestników Polskiego Konkursu Kwalifikacyjnego na międzynarodowy konkurs w Wiedniu dla pianistów i śpiewaków.* Feljeton redaktorki S. Podhorskiej-Okotow pt. *Kobieta szuka prawdy* oraz *Koncert filharmoniczny.*

14.V. b. r. *Recitl* p. Zofji Jaroszewiczowej, *Koncert wiolonczelowy* p. Zofji Adamskiej. Obawy budzi „Wesoła audycja" ze Lwowa.

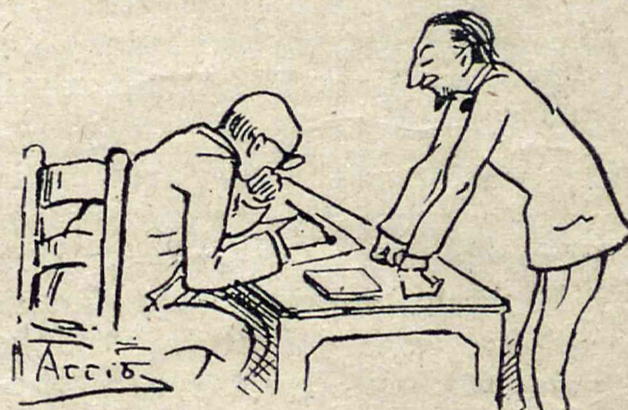
15.V. b. r. Transmisja z Morskiego Oka.

16.V. b. r. *Feljeton muzyczny* C. Jelenty: *Symfonje patetyczne i symfonje domowe* i *recital śpiewaczy* J. Czaplickiego.

17.V. b. r. Ciekawy odczyt Prof. Dr Szrayera *„nowe Indje"*, — *recital skrzypcowy* E. Zathureczky'ego i transmisja *sławnej orkiestry* dyrektora Furtwänglera *z Wiednia.*

Również ciekawe będą prawdopodobnie *recytacje Norwida* wykonane przez p. Henryka Szatkowskiego przy własnym akompanjamencie.

Jelaud.



— *Nieszczęsny spadł z siódmego piętra na bruk. Nadbiegli przechodnie znaleźli martwe ciało.*

Urzędnik cierpko:

— *A cóż pan chciałeś, żeby znaleźli?*

(„Tribuna")

Z WIZYTĄ U KOBIET

Życie organizacyjne kobiet wileńskich

Niewiasta kresowa ukształtowała się zdawna w pojęciach ogółu, jako typ swoisty, odmienny, nie pokrywający się ze zwykłym typem kobiety polskiej. Nasuwa się koniecznie wyobraźni postać cokolwiek marsowata, odrobinę rubaszna, energiczna i przedsiębiorcza, skłonna raczej do zajęć męskich, z koniem i strzelbą obyta, trzymająca w ryzach mężczyznę, poczciwego, trochę ślamazarnego Litwina. (Oczywista — Litwina w tem dawnem, Mickiewiczowskiem znaczeniu).

Za młodu — dziarska panienka kresowa, przemiła Baśka Wołodyjowska, z czasem wyrasta na twardą sobie i drugim matronę, złote serce pod szorstkiem obejściem ukrywającą.

Tyle — wyobraźnia. Jeśli chodzi o prawdę — większe, niż gdzieindziej w Polsce, samodzielność i znaczenie społeczne kobiety kresowej nie ulega kwestji. Dużo się na to złożyło, a jednym z najpoważniejszych czynników był bodaj rok 63, który wyludnił z mężczyzn całą Litwę ówczesną, a tem samem zmusił kobiety do wypłynięcia odrazu na szeroką wodę. Pozostały same na zgliszczach i nie mogły inaczej, jak tylko wziąć na siebie całkowitą odpowiedzialność za rzeczywistość polską, którą przygniótł i dusił Murawjew. Musiały wychować następne pokolenie i utrzymać polski stan posiadania na Kresach. Wywiązały się z tego podwójnego zadania, a jednocześnie rzeczywistość, której broniły, ukształtowała je na modłę swoich wymagań.

Równouprawnienie faktyczne, że tak powiem, obyczajowe stało się na Kresach rzeczą dokonaną niepostrzeżenie i bez wstrząśnień, bez walk, a, co za tem idzie, bez jaskrawego przeciwstawiania się mężczyźnie - wrogowi i tyranowi — bez feminizmu.

Oczywista, nie było zrównania prawnego, chociaż i tu przedwojenna „Litwinka" szczęśliwszą była od „Królewianki"; miała niezależność majątkową, nie gnębił jej kodeks Napoleona... A stanowisko społeczne i towarzyskie zajmowała równorzędne z mężczyzną. Brała udział we wszystkich sprawach publicznych, grała w nich rolę i zabierała głos. A ile razy głos ten przedstawiał istotną wartość, słuchany był zawsze i ceniony na równi z męskim.

Nie omylę się też bodaj, gdy stwierdzę, że ciąg kobiet na uniwersytety rozpoczął się na Kresach wcześniej, niż w Koronie, tylko skierowany był do Cesarstwa: do Petersburga i Moskwy.

Ta równorzędność, zapewne, sprawiła, że tendencja do wyodrębniania się organizacyjnego była zawsze wśród kobiet wileńskich słabsza, niż gdzieindziej. Natomiast w organizacjach ogólnych brały i biorą kobiety bardzo żywy udział. Kobiety, pracujące zawodowo, zrzeszają się w ogólnych związkach danego fachu, niejednokrotnie wchodzą do zarządów i nie czują się tam bynajmniej upośledzone.

Mimo to wszystkie ogólnopolskie organizacje kobiece są na terenie wileńskim reprezentowane: Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet ma największy bodaj zasięg wpływów; on też jeden przekracza poza sfery inteligenckie, dzięki umiejętnie postawionej pracy świetlicowej. Narodowa organizacja kobiet podkreśla wyraźniej ideały feministyczne, walczy z upośledzeniem zarobkowem kobiety, prowadzi akcję propagandowo - uświadamiającą. Ciężkie, kryzysowe warunki bytu pchnęły ostatnio obie te organizacje kobiece na drogę wytężonej pracy filantropijnej. Zajęły się głównie akcją dożywiania dzieci. Na tym terenie akcja ich nietylko się spotyka, ale w poszczególnych wypadkach zaczynają współdziałać. I to jest bardzo ciekawy, swoisty przejaw życia wileńskiego. Związek Ziemianek osiągnął piękne wyniki w dziedzinie ukulturalnienia i podźwignięcia poziomu gospodarstwa kobiecego na wsi. Oddziaływuje przez zorganizowane pod swoją opieką koło gospodyń wiejskich. Najchętniej przyjmowane są instrucje, tyczące się hygjeny dziecka i pielęgnowania niemowląt.

Energiczny i przedsiębiorczy L. O. P. żeński propaguje niezmordowanie obronę przeciwgazową na kursach informacyjnych. Najlepszym dowodem jego popularności jest fakt, że łączy on wszystkie przekonania polityczne i społeczne, sam też przestrzega ścisłej neutralności.

Zato Kobiece Przysposobienie Wojskowe rozwija się raczej opornie. Wciąż jest więcej planów i zamierzeń, niż realnego dorobku. Powodem byłby może nieustalony dotychczas program centrali, nieustanne wahania linji wytycznej.

Skrzętny a cichy Związek Pań Domu w tej chwili interesuje się najwięcej lniarstwem, zagadnieniem, stanowiącem o przyszłym dobrobycie Wileńszczyzny.

Stowarzyszenie kobiet z wyższem wykształceniem zaledwie wegetuje w Wilnie. Wyjątkowo ciężkie warunki ekonomiczne na Kresach powodują przepracowanie tak zarobkowe, jak społeczne. Luksus czasów spokojnych, zebrania elity umysłowej, zwołane poto, by roztrząsać mniej lub więcej zawiłe sprawy teoretyczne, z trudem tylko udają się dziś w Wilnie. Bieda powszechna, niepokojące sąsiedztwo ze Wschodu, jego wpływ zatruty, wyraźny w szerokich masach, to wszystko denerwuje, mąci myśli, do akademickich rozpraw nie uspasabia. Ale nieusposobienie takie, chwilowe i od zewnętrznych warunków zależne, żadną miarą świadczyć nie może o ubóstwie duchowem kobiety wileńskiej. Rozsądna i przedsiębiorcza, energiczna i odważna, rozumiejąca prawie zawsze swoje posłannictwo społeczne, kobieta kresowa jest typem bardzo dodatnim. Niech jej tylko warunki życia na bliższy kontakt z szerokim światem pozwolą, a do ogólnego skarbca pracy kobiecej wniesie niejedną wartość.

Wanda Dobaczewska

Wbrew poradzie lekarskiej

Spotkałem w tych dniach jednego z moich przyjaciół. Byłem nieco zatrwożony jego mizernym wyglądem. Z kilku zapytań dowiedziałem się, że był u lekarza, że lekarz zapisał mu odpowiednie lekarstwa, ale między innemi ze względu na stan zdrowia radził zaprzestać palenia papierosów. Jednak siła przyzwyczajenia była większa, aniżeli porada lekarska — mój przyjaciel palił w dalszym ciągu. Właśnie mi się żalił, że nikotyna mu w tym stanie zdrowia szkodzi, ale cóż robić — nie może.

Błysnęła mi w tejże chwili szczęśliwa myśl — papierosy odnikotynowane. Toteż czemprędzej powiedziałem mu o tem. Dodałem jeszcze, żeby nie łudził się żadnemi watkami, ani filtrami, które bynajmniej nie przyczyniają się do odnikotynowania papierosów, ale niechaj pali prawdziwie odnikotynowane chemicznie papierosy w fabrykach Polskiego Monopolu Tytoniowego.

Po kilku dniach przyjaciel ów ściskał mi dłoń z wdzięcznością.

S. W.

POLSKIE DODATKI FILMOWE

Sprawa dodatków filmowych od wielu lat stanowi bolączkę publiczności kinowej. Oglądanie na ekranie starych, mało kogo obchodzących zdjęć nie należy do przyjemności dla ludzi, którzy za swoje parę groszy pragnęliby zobaczyć coś nowego, a co najważniejsze — estetycznego. Temi cechami, niestety, polskie dodatki pochwalić się nie mogą. Właściciel kina, zmuszony ze względu na zniżkę podatku magistrackiego do wyświetlania tych dodatków, a nie mając najmniejszego ich wyboru — gra to, co mu producenci przyniosą. Obecnie utarł się zwyczaj wśród publiczności umyślnego spóźniania się na t. zw. „polski nadprogram". Zwykły szablon tych dodatków: defilada, okolicznościowe nabożeństwo, widoki Zakopanego, uroczystość strażacka w Pipidówce — stał się zmorą nie tylko już samej publiczności, lecz i „kiniarzy". Ostatnio zaś, z chwilą wprowadzenia polskich dodatków t. zw. „dźwiękowych"(!) — sytuacja stała się wręcz tragiczną.

Na jednej z ostatnich premjer pokazano nam dodatek, który możnaby określić jednem słowem: skandal. Pierwsza część jego, to wokalno-taneczny numer ulubieńców publiczności Toli Mankiewiczówny i Aleksandra Żabczyńskiego w otoczeniu girls „Morskiego Oka". Zdjęcia i dźwiękowość na poziomie najniższym. Druga część przedstawiała popisy orkiestry podwórzowej... Kilku biedaków, bezlitośnie fałszujących jakieś przestarzałe tango, a w roli ich impresarja — dziwny „typ", posyłający całusy do rzucających mu z okien datki i chwytający się co chwilę za serce, co miało być oznaką afektu do ofiarodawczyń.

Panowie producenci! Zrobić dodatek tak, aby coś było, to nie sztuka, tembardziej, że darmo tego nie robicie. Nie mówiąc już o zmyśle artystycznym, trzeba mieć trochę pomysłowości. Robienie takiej ohydy przynosi tylko ujmę polskiej produkcji. Podczas gdy część naszych producentów czyni nadludzkie wysiłki, by stworzyć film dobry i rzeczywiście, pomimo ciężkich warunków, robi postępy, drudzy marnują ich wysiłek, stwarzając nieprzychylną atmosferę dla polskiej wytwórczości filmowej.

Istniejący w Warszawie Związek Producentów powinien wejrzeć w tę sprawę. Poprostu powinno się zabronić robić takie filmy. Jeśli brak nam ciekawych aktualności, — można dawać krajobrazy, widoki miast, egzotykę regjonalną Polski. Tylko trochę wysiłku myślowego i zmysłu estetycznego.

B. Jezierski

JAKIE JESZCZE FILMY UJRZYMY W BIEŻĄCYM SEZONIE

Wśród filmów, jakie ujrzymy jeszcze w bieżącym sezonie, wymienić należy przedewszystkiem film z Lilianą Harvey, „Kawalkadę" z Clive Brookiem, Vlastę Buriana, którego zapowiada kino „Atlantic", „Orlątko" — film osnuty na tle życia księcia Reichstadtu, reżyserji Turżańskiego, Teodora Szalapina w filmie „Don Kiszot", uroczą „gwiazdkę" platynową Jean Harlow w filmie „Krwawy pył" oraz film „Wyspa zatraconych dusz", według powieści fantastycznej Wellsa.

HUMOR

NIEZAWODNY ŚRODEK

— *Kupiłam dla męża środek przeciw paleniu tytoniu. Taki proszek, który się sypie do kawy.*

— *No i cóż, skutkuje?*

— *O, tak, już przestał pić kawę.*

(Mucha).

Prenumeratorom, którzy w ciągu najbliższego tygodnia nie uiszczą prenumeraty za miesiąc maj, wstrzymana będzie wysyłka pisma



Pocałunek i nauka

Pocałunek... Czasem marzenie bezsennych nocy, cel wielomiesięcznych zabiegów i starań, opłacany męką tęsknoty i nerwów, częściej zdawkowy odruch, nie sprawiający najmniejszej przyjemności, a wymieniany tylko dlatego, że tak wypada, tak się utarło.

Lecz mowa, naturalnie, o tym pierwszym pocałunku, kiedy jest on pragnieniem i tęsknotą. We wspomnieniu każdego człowieka znajdują się te cudne pocałunki, których nie zdoła zatrzeć ani czas, ani odległość. Które wspomina się z ciężkiem westchnieniem żalu, że nigdy, nigdy już nie wrócą...



Badania dr. Martsona

Znamy je dobrze. I najbiedniejszy na świecie jest ten człowiek, który tych pocałunków nie zaznał.

Pocałunki posiadają własną olbrzymią literaturę. Napisano o nich kilka miljonów wierszy we wszystkich językach świata, są integralną częścią każdej powieści. Na pytanie, co to jest pocałunek, starali się odpowiadać poeci, pisarze, filozofi, myśliciele, humoryści, satyrycy. Opisywano go, rysowano, rzeźbiono, malowano, próbowano odtworzyć w muzyce, zapominając o najistotniejszej prawdzie — że pocałunek jest... pocałunkiem.

Mężczyzna porównuje usta kobiece najczęściej z kwiatami, poeta z owocem granatu, słodyczą nektarów, zatrutem, lub ukojnem źródłem, krwawą raną, słowem z tysiącem możliwości, mających na celu spotęgować rozkosz, lub też wyolbrzymić upragnioną pieszczotę.

Jako młodzi chłopcy śnimy o tajemniczej chwili pierwszego pocałunku. Najczęściej upragnionemi ustami są wargi koleżanki siostry, lub nęcąca, purpurowa linja nieznajomej, spotykanej na ulicy dojrzałej kobiety. Potem, gdy poznamy wiele, wiele ust kobiecych, pod koniec życia, tęsknimy za pocałunkami najwierniejszymi — pocałunkami matki. Te nigdy nie były zdradliwe...

Czy pocałunek podnieca?... Odpowiedzi na nasze pytanie może być mnóstwo. Każda całująca się para jest w stanie wygłosić cały referat na ten temat.

Istnieją jednak nudziarze, którzy zamiast całować, wolą przeprowadzać badania naukowe. Dziwacy ci — to uczeni lekarze i profesorowie, którzy piszą ogromnie mądre dzieła, że pocałunki są rozsadnikami bakterji i wszelakich chorób, wskutek czego wołają gromkim głosem:

— Nie całujcie się!

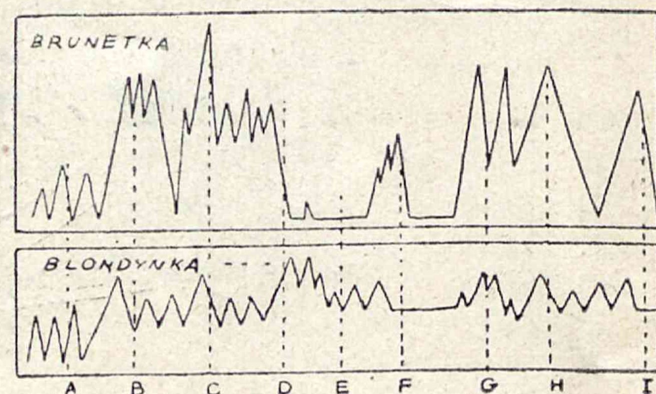
Na szczęście, nikt ich na serjo nie bierze, a człowiek nieuczony, poznawszy rozkosz pocałunku jeszcze w raju, będzie kultywował ją aż do skończenia świata.

Są też dziwacy, którzy zamiast całować usta pięknej kobiety wolą przy pomocy bardzo skomplikowanych przyrządów liczyć rytm serca i szybkość oddechu, gdy dwie pary warg zetkną się ze sobą.

Otóż ludzie ci doszli do „rewelacyjnego" odkrycia, że pocałunek podnieca. Potrzeba im było do tego szeregu gumowych rurek, igieł, elektrycznych bębnów, wykresów... Nie wpadli tylko na myśl, że daleko prościej byłoby zapytać o to młodą dziewczynę, którą w majowy, pachnący bzami wieczór ktoś mocno, mocno pocałował w rozchylone, głodne usta...

Jeden z tych nudziarzy na podstawie wieloletnich badań stwierdził z całą stanowczością, że serce u całującej się zakochanej pary wykonywa 30 uderzeń ponad normę. Inny, amerykanin dr. Martson, ustalił, że nietylko sam pocałunek, ale już jego widok działa pobudzająco i że brunetki reagują nań daleko silniej od blondynek.

Poddał on obserwacji brunetkę i blondynkę podczas wyświetlania sceny pocałunku z miłosnego filmu i otrzymał następujące wykresy:



A. Początek filmu (ciśnienie krwi i oddech normalne).
B. Zakochani spotykają się w lesie.
C. Całują się namiętnie.
D. On odprowadza ją do domu.
E. Żegna się przed bramą.
F. Spotykają się po dłuższem niewidzeniu.
G. Ona całuje go serdecznie.
H Wargi łączą się w gorącym pocałunku.
J. Koniec filmu.

Tego rodzaju wnioski wyciąga z pocałunku nauka. Bardzo często szacowna wiedza zajmuje się rzeczami zupełnie nieproduktywnemi. Bo co właściwie obchodzi zakochanych, że podczas miłosnej pieszczoty serce bije tak, lub inaczej...

Jack.



Baczność!... Gotowe!... Całować!...

Wielka Miss Mistinguett szaleje w Warszawie

Całe życie młoda Miss Mistinguett, gasi, pełne temperamentu, pragnienie, doskonałym piwem i lemoniadą firmy Haberbusch i Schiele

Z WISŁY

Na Wiśle już wiosna. W niedzielę dn. 7 b. m. warszawskie kluby wioślarskie rozpoczęły Sezon na wodzie. Wisła zaroiła się od kajaków.

Chcąc zainteresować świat dziennikarski rozpoczynającą się żeglugą na Wiśle, Tow. „Wistula" urządziło w niedzielę (7.V.33) między godz. 12—4 bardzo miłą wycieczkę dla prasy, luksusowym statkiem.

Przejażdżka ta zgromadziła na pokładzie statku kilkadziesiąt osób z pośród prasy oraz wielu przedstawicieli władz państwowych ze starostą Skórewiczem na czele.

Wycieczka udała się znakomicie. Wogóle przejażdżki po Wiśle dziwnie kojąco działają na rozstrojone życiem wielkomiejskiem nerwy.

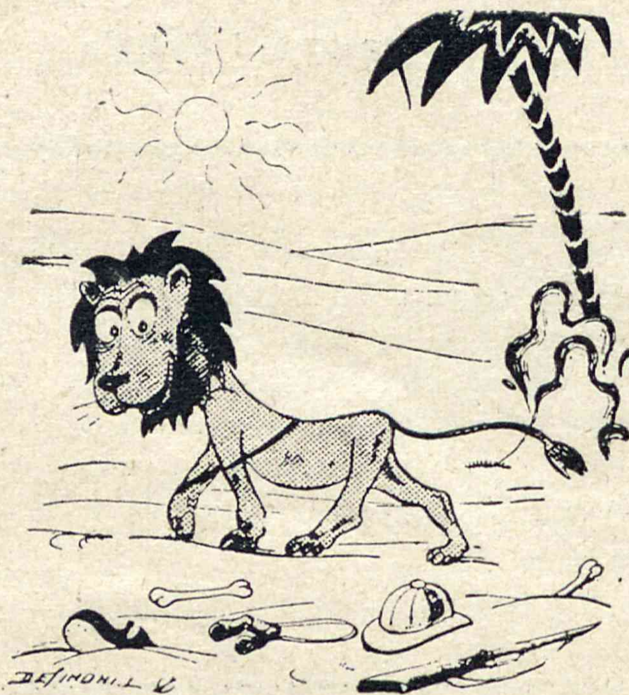
Należałoby życzyć sobie, ażeby warszawianie coraz więcej interesowali się Wisłą. O ileż przyjemniejsze są takie wycieczki po łagodnej tafli wód potężnej rzeki na eleganckim statku od wszelkich wycieczek kolejką, koleją czy nawet autem. Na szczęście publiczność nasza coraz bardziej to rozumie i odczuwa. Tow. „Vistula" należą się słowa uznania za celową i intensywną propagandę w tym kierunku.

J. W.

Pierwszych ciepłych promieni słońca

oczekuje się na wiosnę ze specjalnem utęsknieniem. Ludzie cieszą się, że nareszcie czas chłodów minął i że będzie można zrzucić ciężką zimową odzież. Lecz właśnie wtedy wskazaną jest duża ostrożność. Naogół jednak ludzie postępują nieoględnie i zbyt pochopnie przechodzą do lekkiego ubrania. Ustrój, przyzwyczajony do ciepłej odzieży reaguje najczęściej w sposób ujemny na nagłą zmianę. Następstwem jest złe poczucie, lekkie dreszcze, do których zwykle dołącza się kaszel i katar, czyli pierwsze objawy przeziębienia. Dobrym środkiem zapobiegawczym jest wówczas ciepło oraz gorące napoje, zwłaszcza gorące mleko. Najlepiej jednak działają tabletki Aspiriny, które się bierze przed położeniem się do łóżka, popijając je gorącą limonjadą. Następnego dnia przeziębienie zwykle mija.

ODWET KRÓLA PUSTYNI



— Nareszcie jeden, który nie będzie się chwalił ze swoich polowań!

(„Tribuna“)



— Proszę pana, przyszedł lekarz
— Przeproś go... powiedz, że jestem chory...

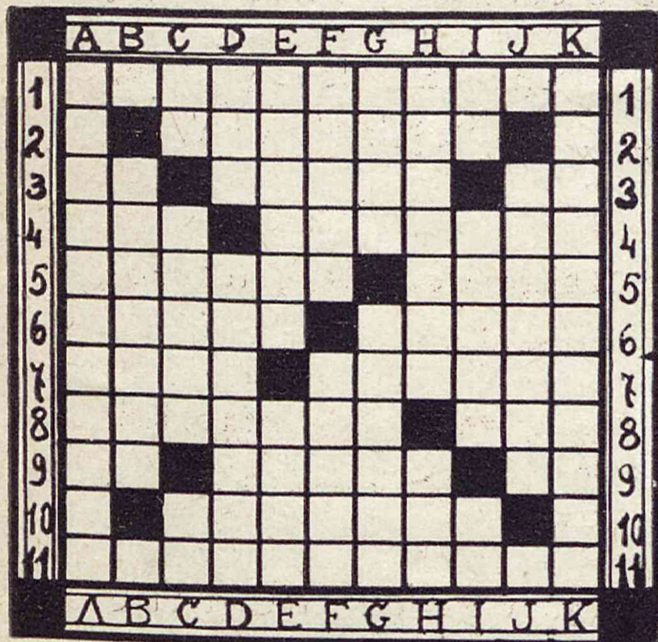
(„Tribuna“)

Rozrywki Umysłowe

№ 117 (219) KRZYŻÓWKA

Ułożył Zenon Brenek.

(Za rozwiązanie 7 punktów).



Znaczenie wyrazów poziomych: a) 1. Materjał do wyrobu ulepszonych płyt gramofonowych. c) 2. Sok roślinny znajdujący się w konopiach indyjskich. a) 3. Bożek słońca. d) 3. Gatunek żółwia w morzu Karaibskiem. f) 3. Spójnik po łacinie. a) 4. Tytuł turecki. e) 4. Przeciwnik żydów. a) 5. Rodzaj togi greckiej. h) 5. Połowa akacji. a) 6. Bogini grecka. g) 6. Najmniejsze jednostki chemiczne. a) 7. Miasto na Złotem Wybrzeżu (Afryka). f) 7. Pierwszy profesor uniwersytetu moskiewskiego um. 1810 r. a) 8. Rzeka na Syberji wsch. i) 8. Wykrzyknik ludowy. a) 9. Posiada. d) 9. Potok wypływający ze wschodniego stoku Libanu, płynie przez Damaszek. j) 9. Symbol pierwiastka chem. c) 10. Imię żeńskie. a) 11. Rodzaj gry hazardowej.

Znaczenie wyrazów pionowych: a) 1. Minerał, tlenochlorek miedzi. b) 3. Mięczak z grupy brzuchonogich, płucnych, lądowych. c) 1. Rodzajnik męski po francusku. c) 4. Część pionowa pomiędzy pilastrem lub kolumną, a otworem arkady. c) 10. Spółgł. i samogł. d) 1. Port położony na wyspie tejże nazwy u wybrzeży Afryki zach. d) 5. Odwrót greków z Azji Mniejszej pod dowództwem Ksenofonta. e) 1. Druga część Talmudu. e) 8. Wielkolud w mitologji węgierskiej. f) 1. Narzędzie do torturowania w czasie inkwizycji hiszpańskiej. f) 7. Mieszkańcy Afryki. g) 1. Celtycka nazwa Irlandji (wspak). g) 6. Odmiana arszenianu miedzi. h) 1. Termin muzyczny. h) 9. Skrzydło w jęz. martwym. i) 1. Zamek. i) 4. Obraz święty. i) 10. Zaimek (wspak). f) 3. Tkaniny cienkie przezroczyste. k) 11. Ulepszona biel cynkowa.

Rozwiązanie zadań

№ 109 (211). KRZYŻ MAGICZNY.

Znaczenie wyrazów: 1. Komunista. 2. Ludożerca. 3. Wizerunek. 4. Otoczenie.

№ 110 (212). NASZE HASŁO.

Znaczenie wyrazów: Chimera. Zasklep. Ofiarny (wspak). Tłuszcz. Alkoran. Jurysta. Czepiec. Irawadi. Energje. Świstać (ć = ś). Wiesław. Italiki. Anilina. Taboret. — „Czytajcie „Świat", a poznacie świat".

№ 111 (213). KWADRAT MAGICZNY.

Znaczenie wyrazów: Manacor. Akolada. Notator. Alaniny. Catinat. Odonata. Rarytas.

Trafne rozwiązania nadesłali:

№ 109 (211). (Za rozwiązanie 3 punkty). Zenon Brenek. Dorota Herbstmanówna. N. K. Kozłowski. Marja Strubel. Lili. Zygmunt Pieracki (Wilno). Jawna Kowalska. Janina Jentysowa. Fr. Wiśniewski. Kazimierz Lilpop. Inż. Modrzejewski (Lublin). Jan Janczewski (Wilno). Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Kaz. Wiśniewski. Mira Suzinowa. Helena Millerowa (Kraków). Ksawery Faliński. Józef Zbyszewski (Kraków). Antonina Solecka. Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska. Jan Kowalski. Henryk Ostrowski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Bolesław Nowak. Jerzy Halski. Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecylja Lewandowska. Stanisław Tański. Karol Waldenberg (Łódź). Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Walewski (Lwów).

№ 110 (212). (Za rozwiązanie 7 punktów). Kazimierz Lilpop. Marja Strubel. Jawna Kowalska. Kaz. Wiśniewski. Fr. Wiśniewski. Lili. Zygmunt Pieracki (Wilno). Zenon Brenek. Z. Tietz. N. K. Kozłowski. Dorota Herbstmanówna. Henryk Walewski (Lwów). Ola Borman. Janina Rowińska. Karol Waldenberg (Łódź). Stanisław Tański. Cecylja Lewandowska. Tadeusz Noskowski. Wiktor Sawicki. Jerzy Halski. Bolesław Nowak. Zofja Górska. Tadeusz Ritter. Henryk Ostrowski. Jan Kowalski. Gertruda Wolska. Feliks Siedlecki (Poznań). Tadeusz Pomianowski. Wiktor Rawicz. Antonina Solecka. Józef Zbyszewski (Kraków). Ksawery Faliński. Helena Millerowa.

№ 111 (213). (Za rozwiązanie 5 punktów). Doroka Herbstmanówna. N. K. Kozłowski. Z. Tietz. Zenon Brenek. Zygmunt Pieracki (Wilno). Lili. Fr. Wiśniewski. Kaz. Wiśniewski. Jawna Kowalska. Marja Strubel. Kaz. Lilpop. Helena Millerowa (Kraków). Ksawery Faliński. Józef Zbyszewski (Kraków). Antonina Solecka. Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska. Jan Kowalski. Henryk Ostrowski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Bolesław Nowak. Jerzy Halski. Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecylja Lewandowska. Stanisław Tański. Karol Waldenberg (Łódź). Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Walewski (Lwów).

NAGRODY OTRZYMALI:

„Lili" (Warszawa) — książkę.

Bolesław Nowak (Warszawa)—książkę.

ODPOWIEDZI KIEROWNIKA DZIAŁU:

Wp. Lili. Prosimy o zgłoszenie się do redakcji po odbiór nagrody.

Wp. Kaz. Wiśniewskiemu. Rozwiązania zadań №№ 107 i 108 otrzymaliśmy z opóźnieniem. Należną ilość punktów zaliczyliśmy.

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o Druk. Galewski i Dau, Warszawa.



P